Nr. 42. Warszawa, dnia 21 (9) Października 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

GOŚCIE RUSCY WE FRANCYI.

Gdybyśmy do uroczystości tulońskich zastosowali pytanie poety: „czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie," to ze strony francuskiej trzeba byłoby odpowiedzieć drugiem twierdzeniem. Bo nawet w najściślejszych związkach międzynarodowych nie wylewa się tyle uczuć, uniesień, zachwytów i miłości, ile okazali francuzi w ugaszczaniu floty ruskiej. Zamiast ogólnych uwag, szeregujemy wymowniejsze od nich fakty szczegółowe, które telegraf od tygodnia po świecie roznosi.

Tulon, dnia 13 października. Rada miasta rozdzieliła 10,000 flag.

Eskadra ruska przepływała do arsenału tulońskiego mimo francuskich statków wojennych, ustawionych w cztery rzędy. Załogi okrętów francuskich i liczna publiczność, zajmująca tysiące łodzi wiosłowych, pozdrawiały eskadrę radośnie. Mnóstwo zebranego w porcie ludu wydawało okrzyki: *Vive la Russie!* Powiewano przytem kapeluszami i chustkami.

O godz. 1-ej w południe wysiadł na ląd admirał Avelan, w towarzystwie oficerów swojego sztabu. W arsenale tulońskim oczekiwał gości sztab główny marynarki francuskiej i wyżsi oficerowie portu tulońskiego. Nastąpiło wówczas ogólne serdeczne uściśnienie dłoni, przy grzmocie armat i odgłosie dzwonów. Kapela marynarska wykonała ruski hymn narodowy, przyjęty nieustającymi okrzykami: *Vive la Russie!* Kontr-admirał Avelan z obnażoną głową udał się w towarzystwie oficerów ruskich i francuskich do prefektury dla złożenia wizyty francuskiemu ministrowi marynarki. Ten, przyjmując gości, powiedział: „Kronsztadt i Tulon to miejsca, które świadczą o sympatyach między marynarką ruską i francuską. Spotykać was będą tu wszędzie, jak serdecznych przyjaciół, a w imieniu prezydenta rzeczpospolitej rząd i kraj cały pozdrawia was, drogi admirale i twoich towarzyszy, jako przedstawicieli wielkiego i szlachetnego narodu." Admirał odrzekł, że nie czuje się na siłach wyrazić całej swojej wdzięczności. „Ruska eskadra i cała Rosya — powiedział admirał — będą wam obowiązani za wasze przyjęcie."

Witając kontr-admirała, mer miasta powiedział: „Zebrani tu są przedstawiciele wszystkich departamentów francuskich, ażeby wyrazić panu uczucia, które Francya żywi ku przyjacielskiej Rosyi i oświadczyć wam, iż wszystkie francuskie serca biją dziś dla was jednakowem tętnem. Wasze odwiedziny wzmacniają przyjaźń dwóch narodów i dowodzą pokrewieństwa dwóch plemion."

Rady municypalne wielu miast i różne towarzystwa francuskich oficerów zapasowych i armij terytoryalnych przesłały kontr-admirałowi Avelanowi do Tulonu telegramy powitalne. W wielu miastach instytucye rządowe i domy prywatne przyozdobione były flagami, a wieczorem iluminowane. Paryż był również obwieszony flagami.

Ceny skromnego pokoju w hotelach doszły do 100 franków za dobę; za widok z okna na ulicę płacono po 600 fr.

Dnia 14 października. Napływ przybyszów z różnych okolic niesłychany. Zapał przybrał olbrzymie rozmiary. Śród rzęsistego oświetlenia na placu Targowym balet operowy wykonał tańce.

Po przyjęciu na pokładzie swego statku ministra marynarki i po wymianie wizyt z komendantami okrętów francuskich, kontr-admirał Avelan udał się do ratusza miejskiego. Senatorowie, deputowani i członkowie rad municypalnych Tulonu i Paryża, delegaci rad generalnych i municypalnych przyjmowali go entuzyastycznie. Dwukrotnie musiał wychodzić na balkon. Wieczorem minister marynarki dawał obiad na cześć oficerów eskadry ruskiej. Minister wzniósł toast za zdrowie Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana i Jej Cesarskiej Mości Najaśniejszej Pani, ruskiej floty i armii, na cześć sławnej historycznej ich przeszłości i braterstwa broni. Kontr-admirał Avelan wychylił toasty na cześć prezydenta Carnota i ministra marynarki, admirała Rieuniera. Oficerowie eskadry ruskiej przypatrywali się baletowi teatru przy „Place de la Liberté." Powracając na okręty, goście ruscy zaledwie przedostać się mogli przez tłumy ludu, witającego ich grzmiącymi okrzykami.

Wszystkie dzienniki paryskie poświęciły szczegółowe opisy uroczystości w Tulonie. Jeden z oficerów marynarki oświadczył, że przyjęcie gości ruskich przewyższało swoją wspaniałością i serdecznością wszelkie wyobrażenia. Według *Figara*, Carnot, ulegając prośbom, powinien przybyć do Tulonu w d. 27 października.

Dnia 15 października. Komendant francuskiej eskadry czynnej, admirał Boissoudy, dawał wczoraj na okręcie „Formidable" obiad na cześć kontr-admirała Avelana i jego sztabu. „Wszyscy francuzi — rzekł on — zwracają swoje pokorne uczucia ku stopom Jej Cesarskiej Mości Najjaśniejszej Pani, źródła wszelakich łask i cnót, Córy duńskiego Domu Panującego, który zawsze takiem współczuciem przejęty był dla Francyi." Kontr-admirał Avelan w podziękowaniu wzniósł toast za zdrowie prezydenta Carnota. W porcie odbył się wspaniały festyn wenecki, przyczem wszystkie francuskie okręty wojenne były iluminowane.

Bal, wydany przez oficerów francuskich armii i floty, skończył się o godzinie 6-ej z rana. Dziś o godzinie 11 przed południem odbył się na cześć kontr-admirała Avelana i jego oficerów bankiet narodowy na 800 osób. Podawano potrawy ruskie. Szereg toastów rozpoczął mer miasta toastem za zdrowie Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana, Ojca Swoich narodów, Jej Cesarskiej Mości Najjaśniejszej Pani i całej Rosyi. Kontr-admirał Avelan wygłosił toast za zdrowie prezydenta Rzeczpospolitej i narodu francuskiego.

Prezydent Carnot wystosował do Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana telegram zaraz po przybyciu eskadry ruskiej do Tulonu. Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan raczył niezwłocznie odpowiedzieć. Prezydent Carnot telegrafował znowu wczoraj z powodu odwiedzin przez Jego Cesarską Mość Najjaśniejszego Pana okrętów francuskich w Kopenhadze.

W Paryżu, dokąd kontr-admirał Avelan wyjechał, uroczystości przybiorą naturalnie jeszcze okazalszą wystawność i większe rozmiary. Ale i tulońskie przekonały dostatecznie, w jakim nastroju francuzi przyjęli swych gości. Że to nie są zwyczajne festyny, ale wypadki, posiadające wagę polityczną, nie potrzebujemy wcale dowodzić. Trudno bowiem przypuścić, ażeby tak silne ognie miłości wypaliły się bez śladu i wpływu na sprawy realne i stosunki międzynarodowe.

Z AUSTRYI.

Następstwa reformy wyborczej. — Klęska liberałów niemieckich. — Trudne ich położenie. — Oświadczenie Heilsberga i wniosek Bärnreithera.— Spisek trzech ministrów. — Hohenwartowcy, polacy i inne stronnictwa. — Nemezis polityczna.

Skreślone tu już zostały główne zarysy projektu reformy wyborczej. Nie ulega wątpliwości, że jest on środkiem połowicznym i że obudzi w szerokich warstwach społeczeństwa pragnienia, których nawet urzeczywistniony zaspokoić by nie potrafił. Następstwa, jakieby wywołać musiał, dziś są już mniej więcej obliczalne. Powołałby on do urny wyborczej — zamiast obecnej liczby półtora miliona — około pięciu milionów głosujących. Otworzyłby przystęp do parlamentu socyalistom, którzy uzyskaliby prawdopodobnie zaraz przy pierwszych wyborach 30—40 mandatów. Z tych mandatów co najmniej połowa przypadłaby na Wiedeń i prowincye niemieckie, reszta na Czechy. Położenie socyalistów austryackich przy walce wyborczej będzie w danym wypadku lepsze nawet, niż niemieckich. Gdy bowiem przeciw tym ostatnim wszystkie stronnictwa burżuazyjne stawały do boju zwartym szeregiem, w Austryi walki narodowościowe rozbiją niezawodnie na wielu miejscach hufce ich przeciwników. Skorzystaliby następnie przy przeprowadzeniu reformy antisemici i zbliżona do nich grupa konserwatywna „chrześciańsko-socyalna.“ Najgłębsze zmiany dokonałyby się w Morawii, gdzie żywioł niemiecki, górujący obecnie, dzięki niesprawiedliwemu i przestarzałemu regulaminowi wyborczemu, musiałby ustąpić pierwsze miejsce narodowości czeskiej, liczebnie o wiele silniejszej. W Czechach fakt podobny powtórzyłby się w mniejszych nieco rozmiarach; nie można jednak przypuszczać, że reforma zwiększyłaby zastępy młodoczeskie, gdyż co zdobędą zwolennicy Gregra u niemców, stracą na rzecz socyalistów. W Austryi górnej i krajach alpejskich zyskają głównie konserwatyści, w Austryi dolnej głównie antisemici, którzy jednak w Wiedniu samym znajdą w socyalistach o wiele niebezpieczniejszych przeciwników, niż dotychczas w liberałach niemieckich. Najtrudniej przewidzieć, jakie byłyby następstwa reformy w Galicyi. Ponieważ projekt zachowuje kurye wielkiej posiadłości i głosowanie pośrednie w gminach wiejskich, większość obecna w Kole polskiem pozostałaby prawdopodobnie niezmienioną. W każdym razie ludność ruska uzyskałaby większą liczbę mandatów, a z miast wyszłaby może drobna garstka posłów radykalnych, która ośmieliłaby się zachować swą samoistność wobec Koła.

Koszty całej zmiany ponieśliby niezawodnie liberałowie niemieccy. Stronnictwo ich zostałoby przy wyborach literalnie rozbite. Nawet optymiści w obozie Plenera liczą się obecnie z możliwością utraty około 50 mandatów, a pesymiści mówią o cyfrach jeszcze wyższych. Po takiej klęsce partya sama straciłaby prawo istnienia i rozpadłaby się prawdopodobnie na drobne grupy, z których pewna część byłaby bardziej zbliżoną do socyalistów, a reszta do konserwatystów.

Na podstawie tych obliczeń nie trudno byłoby określić z góry stanowiska, jakie muszą zająć wobec projektu pojedyncze stronnictwa, gdyby nie ta okoliczność, że on wyszedł ze strony rządu i że opiera się na zasadzie, której nikt w parlamencie słuszności odmówić nie zdoła. Zmienia to poniekąd postać rzeczy, szczególnie dla stronnictwa niemieckiego. Nigdy chyba jeszcze odłam parlamentarny nie znajdował się w tak trudnem położeniu. Jako stronnictwo, mianujące się „liberalnem,“ zwolennicy Plenera powinni popierać reformę, przyznającą przeszło trzem milionom obywateli prawa polityczne, których dotychczas niesłusznie byli pozbawieni. Jako stronnictwo narodowe i centralistyczne, a nadto burżuazyjne, muszą opierać się tej reformie z całych sił. Sprzeczność i obłuda, kryjące się w programie niemiecko-liberalnym, wystąpiły przy tej sposobności na jaw w całej swej szkaradzie. Gdyby liberalizm tej grupy, największej obecnie w parlamencie, a jednak przeznaczonej na zgubę niechybną, nie był czczym frazesem, służącym tylko za osłonę najbrutalniejszemu egoizmowi narodowemu i burżuazyjnemu, mogłaby ona w sposób najprostszy wybawić się z kłopotu i postawić swych przeciwników wraz z hr. Taaffem w tem trudnem położeniu, w którem się sama znajduje. Potrzebowałaby tylko na projekt rządowy odpowiedzieć innym, dalej idącym, a mianowicie domagającym się zaprowadzenia ogólnego bezpośredniego głosowania i zniesienia kuryj wyborczych. Tym sposobem ugodziłaby ona w samo serce najbliższych przyjaciół prezesa ministrów: feodałów zasiadających w klubie Hohenwartowskim, zaniepokoiłaby Koło polskie, a w każdym razie wydarłaby rządowi zasługę inicyatywy w kwestyi tak doniosłej i zasadniczej i pozbawiłaby go sympatyi zdobytej tanim kosztem u ogółu. Lecz od takiego kroku powstrzymuje lewicę niemiecką wzgląd na przedstawicieli wielkiej posiadłości i Izb handlowych, których liczy w swem gronie nie mniej, niż czterdziestu. Wnioskiem tym pozbawiłaby się ona czterdziestu mandatów, nie wiedząc jeszcze, czy zapobiegnie stratom, czekającym ją przy wyborach przyszłych.

O kroku męzkim i stanowczym więc stronnictwo Plenera myśleć nie chce i nie może. Lecz i do zwykłego sposobu cofania się i targowania z rządem trudno uciec się w tym wypadku. Na porządku dziennym obrad parlamentu stoi bowiem w pierwszym rzędzie kwestya stanu wyjątkowego i zawieszenia sądów przysięgłych w Pradze. W najbliższej chwili trzeba będzie postanowić, czy postępować z rządem, czy przeciw niemu. Jeśliby lewica już przy tej sposobności chciała przejść do opozycyi, to wprawdzie stan wyjątkowy, wymagający tylko zwykłej większości, mógłby zostać zatwierdzonym przez parlament, ale rozporządzenie, zawieszające sądy przysięgłych, które wedle ustawy potrzebuje zgody dwu trzecich Izby posłów, musiałoby upaść, co miałoby jako skutek konieczny—rozwiąznnie parlamentu. Groźne widmo wyborów stanęło więc odrazu przed wylękłą lewicą, a ewentualność ta jest tem straszniejszą dla niej obecnie, że w danym razie poszliby w walkę wyborczą obarczeni całem brzemieniem niepopularności, jaka spadłaby na nich za nieprzyjaźń dla reformy wyborczej.

To też całe zachowanie się niemców od owej chwili pamiętnej, gdy hr. Taaffe ku ogólnej niespodziance wygłosił zeszłego wtorku z ławy ministrów program reformy, nacechowane jest zupełną bezradnością. Jest to miotanie się człowieka leżącego w agonii. Daremnie prasa wiedeńska stara się szumnymi artykułami dodać otuchy stronnictwu, którego jest organem i głośnym krzykiem o „zagrożonem mieszczaństwie“ zagłuszyć głos sumienia, odzywający się u niektórych członków lewicy, którzy wierzyli dotychczas na seryo w „liberalizm“ swej partyi. Zwolennicy Plenera nie mogą się na nic zdecydować. Wiedzą oni, że jeśli teraz przejdą do opozycyi, parlament zostanie lada dzień rozwiązany i że jeśli zechcą poczekać aż do obrad nad reformą wyborczą, zarówno

---

1)

SZARA CHWILA.

Napisał

Zygmunt Pietkiewicz.

W zmierzchu wieczora jesiennego kiwała się wątła postać wyrostka lat czternastu. To prosta jest, jak tyczka, to jak tyczka zgięta w pałąk. Na tle zmroku drga, jak struna, szarpnięta w środku. Jest naraz wykrzyknikiem, znakiem zapytania — czołobitością! Nie, ten chłopak drwa rąbie... Za każdem uderzeniem topora stęka z wysiłku. Czasem, zmęczony długiem łupaniem kloców, przystaje, prostuje się i spogląda dokoła. Z za opuszczonego budynku wschodzi księżyc, smuga białego światła ściele się wzdłuż ścieżki szerokiej i wraz z nią bieży do ściany domu. W jednej z szyb widzi bladą twarz kobiety — to matka jego. Ta patrzy na syna i kupę drew, które on nałupał. U góry wiatr powiewa i w powietrzu roznosi dym osikowy z kominów. Na pobliskiej sadzawce gęsi zrywają się do lotu, gęgając, pożółkłe grusze szumią resztkami liści. Tęsknota chwyta za serce. Chłopak, pomimo zmęczenia w krzyżu, doznaje przyjemności, że kloce są tak posłuszne uderzeniom jego siekiery. Za każdem „ciuknięciem“ polana odskakują z miłym dźwiękiem dobrze wysuszonej sośniny.

Ścieżką idzie kobieta z naczyniem jakiemś w ręku. „To córka dzierżawcy“ — myśli chłopak.

— Dobry wieczór, Bolku! — wita go wesoło.

— Dobry wieczór, panno Petronelo! — ten jej odpowiada.

— Idę do was i niosę, zgadnij, co?

„Poczciwa dziewczyna — szepcze chłopak. Znowu „hładysz“ mleka niesie — pewno, jak zawsze, „niezbieranego.“ Żywicielka ta!“ Po chwili otwiera się okno i bieleje w niem blada twarz matki.

— Bolku, dosyć! — woła. Zerwiesz siły, zimno już.

— A to „hasi“ — wtóruje Petronela Charewiczówna. Taki mały, a rąbie, jak parobek.

Macierzyńska troskliwość o jego zdrowie i żartobliwa pochwała ze strony Charewiczówny — budzą w nim chęć popisu. Rozbujany w ramionach i biodrach, nie czuje w nich bolesnego znużenia, które daje znać o sobie w chwili spoczynku. Dochodzi do tego, że im dłużej rąbie, tem większej doznaje rozkoszy — zaczyna bawić się automatycznością swoich ruchów. Naraz zdaje mu się, że ma w sobie dwie istoty, że to nie on rąbie, ale ktoś inny — ktoś do niego podobny. On — najął sobie maszynę, która klinem rozpiera kloce na szczapy i polana, sam zaś stoi obok, ogląda ją od stóp do głowy i cieszy się, że taki duży stos drew nałupała. „Dziś sobota, jutro niedziela — żeby też jeszcze na poniedziałek i wtorek narąbał ten poczciwy biedak!“

— A dosyć że już! To zaciekłe chuchro...

Drgnął, spoziera — sam jest, sam był i maszyną i rachmistrzem jej wysiłku. Z okien domu bije łuna drgająca na szybach, z komina nad dachem uciekają pierzchliwe kłęby dymu. „To Charewiczówna roznieciła ogień na kominku i krzyknęła na niego“ — myśli. Chce się rozprostować — czuje w plecach i krzyżu opór z bólem zmieszany. Wbija „zasieka“ topór ostrzem w węgieł i bierze drwa w naręcze. Idzie, dźwigając je przed sobą, a w całem ciele — znużenie szydercze. Na progu spada mu polano na podłogę.

— Ktoś przyjedzie! — woła uradowany Bolek.

w razie przyjęcia, jak w razie odrzucenia projektu rządowego musi prawdopobnie nastąpić rozpisanie nowych wyborów. Instynkt zachowawczy każe im więc odsunąć ile możności tę chwilę. Zachowują się tedy wyczekująco wobec przedłożeń o stanie wyjątkowym w Pradze, a w kwestyi reformy wyborczej szukają środka, któryby umożliwił im uratowanie pozorów liberalizmu, a równocześnie — własnych interesów. Takie znaczenie ma deklaracya, złożona w imieniu lewicy przez jednego z jej przewódców d-ra Heilsberga. Powiada ona, że oczekuje od rządu, aby jej udzielił w komisyi parlamentarnej bliższych wyjaśnień co do motywów, które spowodowały wprowadzenie stanu wyjątkowego—innemi słowy, liberałowie niemieccy nie wiedzą dotychczas sami, jakiego są zdania. Co się tyczy reformy wyborczej, to odpowiedzieli oni na projekt rządowy tymczasowo wnioskiem posła Bürnreithera, żądającym ustanowienia Izb robotniczych na wzór handlowych i przyznania tej nowej kuryi dwudziestu mandatów poselskich. Prawo wyborcze w tym ścieśnionym zakresie przysługiwałoby wszystkim robotnikom, należącym do kasy ubezpieczeń od choroby.

Obok tego wniosku zjawi się niewątpliwie w ciągu obrad niezliczona ilość innych. Ukażą się one niebawem, skoro tylko pojedyncze stronnictwa uświadomią sobie dokładniej los, oczekujący je w razie przeprowadzenia reformy. Na uchwałę, jaka zapadnie w klubie hr. Hohenwarta wywrze niezawodnie wpływ powien niezadowolenie, wywołane nieufnością, którą okazał hr. Taaffe w tym wypadku wobec najbliższych swych sprzymierzeńców. Ubodło ich głęboko, że prezes ministrów nie zwierzył się z swym zamiarem ani hr. Hohenwartowi, ani też żadnemu z osobistych swych przyjaciół z pośród grona feodałów czeskich. Jest to istotnie charakterystycznem, zarówno dla systemu hr. Taaffego jak dla jego osoby, że najważniejszy krok, przedsięwzięty przezeń w ciągu dotychczasowych jego rządów, odbył się w formie improwizacyi. Zdaje się, że myśl reformy wyborczej urodziła się dopiero w ostatnich tygodniach i to nie w głowie prezesa gabinetu, lecz u dwóch jego kolegów, ministra sprawiedliwości hr. Schönborna, który wedle krążących pogłosek ma być właściwym jej autorem i u ministra finansów Steinbacha, niemca, a przytem najzaciętszego wroga lewicy niemieckiej. Ci dwaj ministrowie przedstawili zamiar swój hr. Taaffemu, który uzyskawszy dlań zezwolenie cesarskie, zakomunikował go dopiero gabinetowi.

Niepewnem jest dalej stanowisko, jakie zajmie wobec projektu Koło polskie. Zdaje się jednak, że na tym punkcie będzie rządowi najłatwiej przeprowadzić reformę swą bez zmian. Co się tyczy wreszcie mniejszych stronnictw parlamentu, to oświadczą się one niezawodnie również za projektem rządowym. Młodoczesi i antisemici wystąpią z wnioskiem, domagającym się zasady powszechnego głosowania. Narodowcy niemieccy odłączą się przy tej sposobności stanowczo od obozu liberalnego.

Jeśli uwzględnimy, że oprócz górującego w tej chwili nad wszystkimi innymi przedmiotami projektu wyborczego na programie obecnej sesyi parlamentarnej znajdują się sprawy, jak stan wyjątkowy praski i nowela trutnowska, co do których u głównych stronnictw dotychczas panuje niepewność jak najzupełniejsza i że nadto parlament załatwić musi w najbliższym czasie budżet i przeprowadzić obrady nad nową ustawą wojskową, możemy wyobrazić sobie łatwo nastrój, panujący wśród członków ciała ustawodawczego, przyzwyczajonych od lat wielu do ciszy sielankowej. Parlament austryacki robi w tej chwili wrażenie mrowiska, w któreby ktoś dla żartu cisnął ciężkim kamieniem. Cios gwałtowny wstrząsnął podwalinami sztucznego gmachu, zniszczył drobne komórki i ścieżki w jego wnętrzu. Wystraszone mrówki tłumnie wyległy na wierzch i błądzą bezradnie wśród gruzów labiryntu lub też gromadzą się około przyczyny niezrozumiałej dla nich katastrofy. Czy uda się im poruszyć z miejsca wspólnemi siłami głaz dla nich olbrzymi? Czy nie lepiej będzie zaniechać próby i poprzestać na naprawieniu szkody, o ile to będzie jeszcze możliwem? Lub czy też postanowią one może opuścić zburzone mieszkanie i wybudować nowe obok niego? Wszystko to jeszcze niepewne. Popłoch wśród rojących się owadów doszedł do najwyższego stopnia, a sprawca nieszczęścia przypatruje się ciekawie i z uśmiechem na ustach temu widowisku.

Hr. Taaffe nie zdaje sobie widocznie dokładnie sprawy z tego, co uczynił. W postępowaniu jego leży pewien tragizm, którego on sam dotychczas jeszcze nie jest świadomy. Posługując się przez lat tyle intrygą i środkami dwuznacznymi, stracił zupełnie miarę dla poważnych kwestyj społecznych. Projektu swego teraźniejszego użył on niezawodnie tylko dla zaszachowania lewicy i uzyskania hasła popularnego przy przyszłych wyborach. Lecz zamiast lekkiej a zatrutej strzały, jaką zwykł posługiwać się, wziął do ręki potężne działo, a wystrzał zeń zatrząsnął gmachem społecznym monarchii. Obojętnem jest teraz, czy projekt rządu przejdzie w obecnym parlamencie, czy też zostanie odrzucony lub zmieniony. Hasło wydane przez rząd zwróci się prędzej lub później przeciw niemu. Reforma wyborcza raz podjęta nie może zatrzymać się przy systemie kuryj i nie uszanuje przywileju feodałów i bankierów. Projekt hr. Taaffego jest samobójstwem dotychczasowego jego systemu.

S—l.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Członkowie eskadry ruskiej udali się do Paryża, gdzie są przedmiotem nadzwyczajnych hołdów i ugoszczeń. Prezydent Carnot, przyjmując ich u siebie, rzekł: „Ogniwa przyjaźni zadzierzgnięte w Kronsztadzie, zacieśniają się z dniem każdym i szczera wymiana naszych uczuć przyjacielskich powinna natchnąć wszystkich tych, którzy odczuwają sercem błogosławieństwa pokoju.“

Na te gody weselne rzuciły cień dwa zgony ludzi, których trumien nawet dziś Francya ominąć nie może: umarł słynny twórca *Fausta*, K. Gounod i marszałek Mac-Mahon. Tylko ostatniemu należy się na tem miejscu wspomnienie. Wszedł na horyzont jako świetna gwiazda, a zniknął jako ciemny punkt. Pierwsze palmy i szlify generalskie zdobył w Afryce, w walkach z kabylami Algieru. Podczas wojny włoskiej (1859) miał swój moment historyczny, mianowicie gdy na czele korpusu pojawił się nagle pod Magentą i porażkę francuzów przemienił w świetne zwycięztwo. Piastując różne godności, a między innemi urząd gubernatora Algieru, po wybuchu wojny francusko-pruskiej objął dowództwo nad korpusem, ale od tej chwili Pandora otworzyła dla niego złowrogą swoją puszkę. Przegrawszy bitwę pod Wörth, osaczony został następnie w Sedanie i tylko otrzymana rana uwolniła go od bolesnego obowiązku podpisaniu kapitulacyi. Wypuszczony z niewoli uśmierzał

— Któżby inny, jak nie pan Rokita, mąż pani *dobrodziki* — pośpiesza z tłumaczeniem Charewiczówna.

— Poczciwa z ciebie dziewczyna, moja Petro — rzecze pani Rokicina, głaszcząc ją pod brodę.

To polano, którego mdlejące, spracowane ręce synowskie utrzymać nie mogły, jakże w porę spadło. Jest prawie pewną, że ten znak zwiastuje rychły powrót męża. To ją tak raduje, że na chwilę jej głos złamany i smutny — dźwięczy tonem weselszym. Nastrój ten udziela się synowi. Ten ze lżejszem sercem idzie po drugie naręcze. Znowu jest na dworze i wciąga chłodne powietrze jesieni, na jasnem niebie kilka świetniejszych gwiazd mruga — inne pogasły w blaskach księżyca. Nasłuchuje — i serce mu skacze radośnie... Za wzgórzem, na pobliskiej drodze wlecze się wóz jakiś, koń parska, słychać brzęczenie kółka u *duhy*. W stęsknionej duszy chłopca roi się kałamaszka z ojcem i bratem Wicusiem. Koło domu Charewiczów skrzypnęły wrota, tylko patrzeć — ukaże się stary myszaty koń, idący leniwym truchtem. Nie — to mąkę przywieźli dla Charewiczów z młyna... Wciąż nosi drwa i naprzemian znajduje się na lśniącem rośną trawą w blaskach księżyca podwórzu, to w ciepłej, rozjaśnionej wesołym ogniem izbie. Tam szumi wiatr, szeleszczą, trącając gałęzie, spadające z grusz liście i jęczą sowy, tu — kominek huczy, płoną w nim z trzaskaniem drwa suche i matka się żali.

— Nie daj Bożo — mówi — być bez obowiązku. Resztki zdrowia można stracić ze zgryzoty — ani co jeść, ani co na kark włożyć... Żebym umarła, nie byłoby w co ubrać do trumny!.. Zima idzie, a Bolek obdarty, jak ostatni ulicznik. Oj! gorzka, straszna moja dola!..

A Bolkowi dusza się trzęsie na ten widok. Przykro mu bardzo, że matka ma łzy na pomarszczonej, bladej twarzy błyszczące w świetle kominka. Składa drwa w kącie i tęskni za ojcem i Wicusiem. Może tam wloką się gdzie przy blasku księżyca, poprzez smętną jałową polankę śród sosen boru, który ponuro gwarzy sam w sobie. I wspomnienia własnych jazd takich snują się mu, jak we śnie, po głowie.

— Alеż, pani drogieńka, proszę nie płakać. Pan Rokita nie naprózno tak długo siedzi, pewno coś wysiedzi.

— Et, moja drogieńka, co tam z tego będzie? Już ja niczemu nie wierzę, straciłam wiarę... Tyle razy jeździł i zawsze nic i nic! Ot, chyba co dobrzy ludzie dadzą ze swojej śpiżarni i swirna.

— A taki powiem pani, że teraz wróci z dobrą nowiną. Zobaczy pani, ja mam dobre przeczucie...

— Daj to Boże!.. Oj, doprawdy, jaż mówię, żeby nie ty, Petro, możnaby człowiekowi „zajść się“ z nudów i zagryźć na śmierć.

— Objęła jej głowę i złożyła macierzyński pocałunek na czole.

— Drogieńka ty moja!..

Kominek huczy i trzaska wesoło, promienieje ciepłem. Matka się żali i raz po raz spogląda niespokojnie na „juszkę.“ Tam u góry, nad gzemsem, po przez szczelinę źle przymkniętych drzwiczek raz w raz skry ulatają.

— Ach, polano smolne, Bolku! — jęczy. Wyjmij!

Wszystkie przebyte pożary i kiedykolwiek widziane zapalające się sadze w kominach, tak łatwo prowadzące do pożogi, trapią jej wystraszoną i biedną głowę. Zbyt chciwie płonące polano Bolek wydostaje i gasi, a z tego powstaje dym, który gryzie oczy.

— Jak tu ciepło i widno, aż miło! — mówi Petra.

— Czemuż nie przyszłaś z jaką robótką? Przyjdźcie kiedy obie z Cesią.

— Trzeba będzie... O, my jeszcze pani

rokosz komuny i po Thiersie zajął miejsce prezydenta Rzeczpospolitej, z którego musiał ustąpić w r. 1879. Odtąd coraz gęściej pokrywał go mrok zapomnienia. Był to generał niewątpliwie zdolny, ale w drugiej połowie życia gra losu zawiodła go na wszystkich stawkach.

Do Tarentu zawitała eskadra angielska pod dowództwem Seymoura.

Przy odsłonięciu pomnika Garibaldiego w Genui Crispi wypowiedział płomienistą mowę na znany temat: pragnijmy pokoju i gotujmy się do wojny.

Hiszpania nie zdołała na rokoszanach marokańskich wymusić pokory, więc uzbroiła kilkanaście tysięcy ludzi i wysłała ich do Afryki dla obrony swych posiadłości i stłumienia buntu kabylów, objawiających coraz większą hardość. Uprzedziła przytem sułtana marokańskiego, że on zapłaci koszty wyprawy, co jest pogróżką przedwczesną wobec tego, że wprzódy trzeba wygrać kampanię.

Prezydent Cleveland z chwalebnym uporem odrzuca wszelkie propozycye pojednawcze w sprawie cofnięcia bilu o zakupie srebra przez państwo i trzyma senat w nieprzerwanej przymusowej sesyi, spodziewając się, że go ostatecznie zgwałci. Biedni senatorowie, uwięzieni w swym gmachu, w którym od dwu tygodni śpią i jedzą, czynią wszelkie wysiłki, ażeby ocalić interes drogich ich sercu „srebrnych ludzi,“ ale dotąd bezskutecznie. Jest to niezmiernie ciekawa i charakterystyczna walka.

Prezes ministrów serbskich, Dokicz, nieuleczalnie chory, zażądał dymisyi, której mu dotąd nie udzielono. Zachodzi bowiem trudność znalezienia odpowiedniego kandydata.

BADANIA NAUKOWE.

NATURA I SIŁA.

W końcowym rozdziale swych wybornych *Szkiców przyrodniczych*, zatytułowanym „Człowiek i przyroda,“ p. Kramsztyk podejmuje ideę Rousseau'a, ideę powrotu do natury; a jakkolwiek uznaje, że powrót taki, jakiego chciał zagniewany na cywilizacyę znakomity genewczyk, jest niemożebny („albowiem człowiek po raz drugi narodzić się nie może“), to jednak w niezwykle pięknem porównaniu podnosi zasługę Rousseau'a w tem mianowicie, że nas nawrócił ku przyrodzie *uczuciowo* i upatruje w tem podniesienie etyczne człowieka, przeciwwagę ambicyi oraz argument wobec tych, co w naukach przyrodniczych widzą wpływ demoralizujący i materyalizujący człowieka.

„Zdarza się — mówi autor — że dziecię skromnej lepianki, syn chaty wiejskiej, dzięki zdolnościom swoim i pomyślnemu zbiegowi okoliczności, wyrasta na pana wielkiego, staje się ministrem, biskupem; ale nieraz wśród wspaniałości i wrzawy nowego swego otoczenia, szczęścia nie znajduje; ludzie, co go otaczają, nie odczuwają tajnych serca jego porywów, nie może z nimi uczuć swych podzielić, z myśli swoich wyspowiadać się przed nimi nie potrafi, czuje się obcym i osamotnionym.

Wtedy budzi się w nim tęsknota za ciszą i skromnym bytem dzieciństwa, tam szczerze i serdecznie powitają go dawni towarzysze, tam matka, choć kobieta prosta, ukoi boleści jego. W tęsknocie tej mieści się przeciwwaga dla dążeń jego ambicyi, narzuca mu ona ogledność w doborze środków, które mają go do celu dowieść, staje się źródłem uczuć szlachetnych.

Padobnież i człowiek wzniósł się nad przyrodę, ale śród blasku cywilizacyi nie jest szczęśliwy, samotnym czuje się nawet śród tłumu... Wyrywamy się więc ku przyrodzie, która przedstawia nam jakby minione dzieciństwo nasze, które jest dla nas najdroższem zawsze wspomnieniem. Rozwój świadomości jest źródłem udręczeń, więc tęsknimy do przyrody, jako nieświadomej.“

W kwestyi podjętej przez autora *Szkiców* pozwolimy tu sobie wyrazić parę własnych poglądów.

Naprzód twierdząc, że powrót do natury w duchu Rousseau'a jest niemożebny, choć upragniony, winni jesteśmy *postawienia na to dowodu*; otóż sądzimy, że dowód taki tkwi w zasadzie walki o byt jako w czynniku rozwoju, cywilizacyi, oddalania się od natury. Ludy natury giną w walce o byt z ludami cywilizacyi, powrót więc pewnego ludu do stanu natury byłby dlań wyrokiem zagłady, powrót zaś całej ludzkości na łono natury byłby tylko nowem rozpoczęciem tej samej gry, którą ludzkość zaczęła już od wieków: śród tej ludzkości powróconej na łono natury wywiązałaby się walka o byt, która zaczęłaby ją znowu oddalać od stanu natury po raz przebytej już drodze cywilizacyi.

Co do walki z twierdzeniem, że *nauki przyrodnicze znoszą cześć dla ideału, wiodą do egoizmu, materyalizują człowieka* itd. to sądzimy, że jest ono dość niedorzeczne, aby warto było z niem walczyć. Wszelka praca naukowa jest zawsze przetwarzaniem energii życiowej z cielesnej na duchową, zwraca ona człowieka od zewnątrz ku wnętrzu, uduchownia go; ci więc pracownicy myśli, którym praca spędza krew z policzków i wysusza tłuszcz podskórny, są prawdziwymi duchownymi, nie ci, którzy wymyślają na materyalizujący wpływ nauki, a sami żyją jedynie najgrubszemi popędami ciała.

Co się tyczy *tęsknoty do przyrody*, to bynajmniej nie zaprzeczamy faktu jej istnienia śród ludzi: każda lepsza, wyżej uorganizowana jednostka doświadcza jej lub doświadczała w pewnych chwilach życia, lecz *geneza tej tęsknoty i wartość jej ze stanowiska społeczno-ewolucyjnego* przedstawia nam się nieco inaczej, niż autorowi. Mimo całego uroku tej tęsknoty, który znalazł tak piękny wyraz w przytoczonych wyżej słowach, nie możemy jej uważać za *plus* w rozwoju ludzkości, za jej ideał.

Tęsknota do natury jest poprostu objawem znużenia *); doświadczają jej jednostki wyczerpane zapasami na arenie rozwoju cywilizacyjnego, a także (co zresztą w zasadzie jest identyczne) jednostki, które, znajdując się jeszcze w nizkiem, mało od natury oddalonem stadyum rozwoju, zostaną rzucone nagle w obcy im wir cywilizacyi, która ich oszałamia i przygnębia. *Ideałem ludzkości nie jest natura, lecz siła*, nie odpoczynek, nie żywot rajski na jej łonie, nie nirwana, lecz walka; spoczywać na łonie natury idzie inwalida cywilizacyi (lub zwierz zbiegły z menażeryi), silny dąży tam, gdzie najgoretszy wre bój!

Rzeczywiście, przy *każdej formie znużenia* zawsze objawia się owa tęsknota do natury. Tęskni do niej zarówno wojownik okryty ranami, jak i człowiek przepracowany umysłowo, przefilozofowany lub też rozpustnik zużyty zmysłowo — zarówno człowiek wyczerpany orgiami ducha, jak i orgiami ciała. Ta tęsknota, tak pięknie przez autora przedstawiona, jest jednak w zasadzie identyczna z uczuciem tego

*) Mowa tu o tęsknocie ze stanowiska czysto *uczuciowego*, po za wszelkiemi względami artystycznymi lub naukowymi.

---

nadokuczamy przez zimę wieczorynkami naszemi.

I wlecze się tak rozmowa, pełzając po drobiazgach przyziemnego życia, szara, uboga, jak samo to życie, wracając ciągle tam, skąd wyszła, a zegar ją mierzy na sekundy i minuty, zadrga i wydzwoni — godzinę.

— Aj-oj! siódma... Idę już!

— Czego się śpieszysz, Petro, jeszcze wcześnie.

— Nie, nie, pani drogieńka! Bezemnie Ahapka kolacyi nie ugotuje po ludzku.

— Powiedzże, kochanieńka, cóż u was będzie dziś na kolacyę.

Pyta o to, a podniebienie, nos, żołądek i kiszki jej, złaknione od tak dawna, popychając się wzajem, wraz z nią — chciwie nastawiają uszy.

— Zacierczka na mleku — odpowiada Petra.

Jak oni to lubią — matka i Bolek! Zgotowaliby ją sobie z mlekiem, które Petra przyniosła, ale mają tylko trochę krup jaglanych, „zjełczałych“ — żadnej mąki. Charewiczówna opowiada, co u rodziców było dziś na obiad, a oni to wszystko łakomie w myśli zajadają. Bolkowi to idealne posilenie się nie wystarcza. Smutny i wyczerpany dokonaną pracą, znika w przyległym pokoju, który odrębność swego bytu zawdzięcza przepierzeniu jednej dużej izby, niegdyś będącej warzywnią Charewiczów. Odkroił kromkę chleba i pożera ją łapczywie z solą, a w pustych szufladach szafy ścigają się i piszczą myszy, walczące ze sobą o żer skąpy. Z drobniuchnym odgłosem ich malusieńkich pazurków miesza się dudnienie potrącanych w gonitwie jakichś grudek twardych. Bolek wie, że to być mogą chyba ziarnka grochu, ale nie tego, który na polu rośnie, lecz własnego chowu tych czworonożnych gospodyń. Zajada chleb suchy i patrzy bezmyślnie w okno. Na tle jasnego nieba białej nocy księżycowej sterczy wysoka i smukła sylwetka żórawia studziennego przed domem Charewiczów, obejmując w ramki pod kątem spiczastym — kawałek bladobłękitnego powietrza. Niema z niego pociechy, bo ono ucieka z objęć jego i w przelocie targa pasmo dymu, ulatującego z komina jakiejś przyległej budowli. Nagle żóraw drgnął, zaskrzypiał i chychocąc sucho, zaczyna szybko zniżać głowę, aż pochylił ją zupełnie nad studnią. Ktoś wodę czerpie... Bolkowi przychodzi na myśl, że i on musi pójść po nią. Słyszy rozmowę Petry z matką, ich pożegnania — pocałunki głośne i „dobranoc — dobranoc!“

— Dobranoc, panno Petronelo! — pędzi jego pożegnanie z za przepierzenia.

Są sami. Bolek na chwilę wybiega po wodę. Zanurzając skrzeczący, uparty żuraw w ciemnej otchłani studni, łapie uchem czyjeś „wio-wio!“ na drodze — tam, w świetle księżyca. „Może to oni?“ — myśli tęsknie, a z wyciągnionego wiadra leją się w głąb studni rzęsiste krople wody. „Nie, nie oni!“ — szepce rozczarowany. To ktoś mijał ciężkim wozem dwór i ruszał dalej, w świat. Wraca, czując, że wiadro napełnione wodą rznie i parzy mu dłoń szorstką *poczepką*. Ze strachem mija starą, opuszczoną ptaszarnię, której czarne, puste czeluście zamiast drzwi i okien go nękają. Może jaka postać w bieli wyjść z tych otworów ciemnych i stąpać za plecami. Przyspiesza kroku, wylewa wodę i boi się za siebie obejrzeć. Dopada drzwi i tak mocno sapie ze zmęczenia i trwogi, że matkę to do żywego wzrusza. Jej serce też niespokojnie biło. Och, to żurawie u studzien!.. Kiedy Bolek czerpał wodę, przypomniała sobie, jak niegdyś, za lepszych czasów, kiedy mieli jeszcze dobytek swój, jeden taki wraz z „sochą“ — slupem podgniłym, na którym lata całe się wahał — runął i przygniótł wieprza. Wyobraziła więc sobie przed chwilą swoje drogie dziecko z roztrzaskaną urwanym „oczepem“ czaszką i spadające w głąb studni. Ale to minęło już — i obraz ten bo-

smakosza i viveura, co długi czas objadał się ostrygami, pasztetami, homarami, spijał benedyktyny, chartreusy, szampany, co młodość strawił śród elegantek paryskiego półświatka... „tęskni“ on za — grochem z kapustą i chlebem razowym, za „czystą“ wódką, która trąci karczmą, za prostą dziewczyną wiejską (jak znowu dama wielkiego świata — za zakopańskim „frajerem“).

Znużenie to nie koniecznie musi towarzyszyć cywilizacyi wysokiej, albowiem jest to objaw względny zależny od umysłowego stadyum, umysłowej siły jednostki: siłacz podźwiga się dopiero ciężarem dwustofuntowym, dla dzieciaka lub charłaka wystarczy już pięćdziesięciofuntowy. Mamy na to przykład zarówno w naszej młodzieży szkolnej, która przeciążana nauką chętnie ucieka ze szkoły „na łono natury,“ jak i na australczykach, botokudosach itd. którzy, pokończywszy gimnazya, zrzucają z siebie cywilizowaną skórę i uciekają na pustynie lub w lasy, aby tam razem ze swymi dzikimi rodakami żyć życiem włóczęgów (analogia z owem „dzieckiem chaty wiejskiej,“ które stało się „panem“).

Dla uzupełnienia powyższej ilustracyi „tęsknoty do natury“, zwrócimy jeszcze uwagę czytelnika na dwa blizko z nią spokrewnione objawy, mianowicie *knajpizm* i *chłopomaństwo*. Że knajpizm jest wynikiem znużenia, wyczerpania, choroby, to naturalnie nie potrzebuje dowodzenia, a jednak jest on tylko leczniczo-realną formą idei Rousseau'a. Co do rozpowszechniającego się u nas w ostatnich czasach chłopomaństwa, nie mamy tu na myśli ani rozumowo-społecznego, mającego na celu umysłowe i ekonomiczne podniesienie ludu, ani też naukowo-etnograficznego, mającego na celu naukowe zbadanie objawów życia ludowego i wogóle życia ludów pierwotnych (jeżeli kierunki te można nawet wogóle nazwać tem mianem), lecz chłopomaństwo właściwe t. j. *uczuciowo-obyczajowe*, *czułostkowo-sielankowe*, które chętnie ubiera się w sukmanę i łapcie, zarzuca grzebień i mydło, jako wymysły niemiecko-szatańskie, wpada w świątobliwą ekstazę na widok chłopskiej budy lub chłopskich wierszydeł, przypisuje ludowi niebywałe cnoty i idealność uczuć na podobieństwo owych, nieznających etnologii podróżników, którzy dziś zachwycali się gołębią dobrocią człowieka pierwotnego, a nazajutrz „spoczęli na łonie natury,“ tj. w jego kanibalskim żołądku. Temu to prądowi u nas przypisać należy, że w chwili obecnej głównym kierownikiem filozoficzno-estetycznej myśli polskiej jest Sabała! — dostawca żętycy dla chorych żołądków i mądrości dla chorych, lub uwstecznionych w rozwoju, mózgów. „A Pan Bóg — mówi ten prorok — śmierć chrast w pysk“. Ach jakież to ładne!! — woła w ekstazie taki nawiedzony przez *chłopomania-idillica*, a za nim odbekuje toż samo całe stado Panurga. Idąc za tą ideą, ludzkość powinnaby zarzucić tragedye Shakespearca, poemata Byrona, utwory Geethego itd., zarzucić prawa Keplera i Newtona, odkrycia Wattów, Edisonów itd. itd. zarzucić wszystkie swe zdobycze, co tyle łez i krwi ją kosztowały i iść po naukę i piękno do peszeresów, buszmanów, australczyków i — Maćków.

Powiedzą mi może, iż wszystkie zdobycze cywilizacyi w pierwotnej umysłowości człowieka wzięły swój początek? Bardzo dobrze, ale stąd bynajmniej nie wynika, aby teraz trzeba było powracać do początku: niech ci panowie chłopomani zechcą łaskawie odrzucić uszlachetnione kultury bery i spożywać twarde jak kamień, a kwaśne jak ocet gruszki polne i niech wołają ze zdławionem gardłem: ach jakie to smaczne! Z pewnością nie zrobią tego, bo chociaż i smak się psuje (jak zauważyliśmy wyżej), to przecież zwykle nie tak prędko, jak mózg; a zresztą ta nasza *chłopomania idillica* jest po większej części objawem mózgów nie przecywilizowanych (bo takich u nas mało), lecz raczej niedocywilizowanych lub tylko względnie przecywilizowanych (smak zaś nasz stoi zwykle na wysokości cywilizacyi): my jesteśmy jak ów australczyk lub botokud, dla których już średnie wykształcenie było za silną dozą cywilizacyi tak, iż wyczerpani nią, uciekają na łono natury.

A może panowie chłopomani sądzą, że australczyk lub botokud utrzymają tym sposobem swą narodowość? Jeżeli tak, to są w grubym błędzie: schropienie narodu jest jego zgubą; „mój Boże, mówiła pewna ślązaczka do turystów, czy też studentów wrocławskich, tacy porządni panowie i mówią po naszemu“!

Zechciejmy przecież zrozumieć to, że jeżeli *wolno* komuś, co „znużony cierpieniem, przeciwnością, wiekiem“, chce osiąść śród „Łobzowian,“ żyć ich życiem prostem, nie wyczerpującem nerwów; że jeżeli *należy* podnosić lud umysłowo i ekonomicznie oraz badać naukowo objawy niknącej jego pierwotności, to nie wolno i nie należy odwrotnie: życia takiego uważać za ideał ludzkości, a płody ducha człowieka pierwotnego wnosić in crudo do cywilizacyi i tym sposobem powstrzymywać jej rozwój.

Wskutek tak opacznego prądu zwykle materyały do etnografii identyfikują się z płodami artyzmu lub głębokiej myśli, a za tem idzie znów przecenianie zasług zbieraczy: jakiś fotograf lub rysownik, który przedstawił nam parę typów chłopskich, będzie uchodził za etnologa, jakiś szczęśliwy posiadacz osobliwie pomalowanego jaja, kijanki o dłuższym trzonku niż zwykle, jakiś znalazca skorupy lub dobitniejszego waryantu z poematu „Kaśka za piec“ itd. jest u nas obecnie uważany za potęgę naukową przynajmniej tak wielką jak głęboki znawca i szczęśliwy posiadacz marki pocztowej z wyspy Mauritius! (a to nie jest wcale bagatela!).

Nie chcemy tu bynajmniej zaprzeczać, że np. niektóre motywy pieśni lub podań ludowych jako objawy pewnej *siły* (o czem niżej) *obrobione* artystycznie przez mistrza tonów lub słowa, mogą się stać wielkimi utworami sztuki, podobnie jak pewne kamienie w naturze, zanieczyszczone i niekształtne, stają się po ich oszlifowaniu najpiękniejszą ozdobą. Nie myślimy przeczyć, że wszelkie, choćby najdrobniejsze, choćby najniedorzeczniejsze, objawy życia ludu mogą posłużyć uczonemu etnologowi do *zbudowania doniosłych praw naukowych*; chodzi tylko o to, by objawów tych nie traktować jako cel, lecz jako środek do celu oraz aby ich nie traktować ze stanowiska mdłej czułostkowości. Co innego jest, powtarzamy, chłopomaństwo idylliczne, a co innego socyologiczne lub etnologiczne; tak samo jak co innego jest „tęsknota na łono natury,“ a co innego badanie tej natury przez uczonego przyrodnika lub skierowywanie jej sił na pożytek społeczeństwa przez doświadczonego technika. Nie chcemy tu wreszcie bynajmniej tłumić „zapału“ tych etnografów-zbieraczy, bo naturalnie lepiej, gdy jakaś „panienka ze dwora“ zamiast zbierać plotki szlacheckie dość banalnego kosmopolitycznego charakteru, zbierać będzie typowe gadki chłopskie — chodzi nam tylko o to, aby rzecz każda była postawiona na właściwem jej miejscu, *suum cuique*! Albowiem gdy społeczeństwo będzie jedne produkty opłacać moralnie zbyt

---

lesny i tamto wspomnienie brzydkie. Teraz siedzą u kominka i spoglądają oboje na rondel, w którem „parzy“ się i wzdyma mleko w „kożuszku“ rumianym. Tak są głodni, że z wytężoną uwagą strzegą całości tego białego płynu i drżą o to, żeby ani jedna kropelka nie przepadła — żeby mleko nie wybiegło. Nagle się wzdęło aż po brzegi i wywołało z ust matki i syna jeden okrzyk: „aj! wybieży.“ I jednocześnie czworo rąk śpieszy na ratunek. Po zasypaniu kaszy i oddaleniu rondla od samych płomieni, mleko staje się karniejszem i wre spokojnie. Ogień niepodsycany słabnie, kąty pokoju cofają się w mrok, a drzwi sypialni — czarna plama czworokątna — zaczyna niepokoić Bolka. Tam przespała tyle nocy jego matka wątła, słabowita i tyle razy ztamtąd we snach zjawiała się, jako zmarła. Boi się widma jej, może stanąć biało, powiewne w progu i pokiwać na niego palcem. Rzuca skwapliwie w żarzącą łunę kominka najsmolniejsze polano — pokój się rozwesela, rozmowa ich toczy się żywiej, ale oś jej stanowi oczekiwany powrót „swoich.“

— Ciągnąc wodę, myślałem, że jadą...

— I cóż?

— A to nic... zdało się!.. Chłop jakiś jechał.

— Mam jakieś przeczucie, że dziś przyjadą na pewno.

— Czemu, mamo?

— Bo polano spadło.

To mówiąc, nalewa kaszkę na talerze i ustawiwszy je na krześle przed kominkiem, powiada:

— No, już! Jedzmy, Bolku, za zdrowie poczciwej Petry!

Pierwsze łyżki tej dawno i dobrze znanej strawy, podrażniwszy ich węch i smak, zapełniły ich dusze powodzią wspomnień z minionych lepszych czasów.

— Mama pamięta „loszek“ w Borsukach? — pyta chłopiec.

— Och, nie mów lepiej o tem, Bolku.

Mimowolnie zakrwawił jej serce, budząc ten obraz dobrobytu zgasłego. W tym „loszku“ bywało niegdyś po kilkanaście „hładyszów“ — skopków — mleka. Teraz krowy, które je dawały, musieli oddać żydom małomiasteczkowym za długi, bo pensya leśniczego nie wystarczała. Marne dwieście rubli dla kilkorga gęb i grzbietów — cóż to znaczy? A potem jeszcze wydalono z „obowiązku“ — z posady. Bolek pamięta dobrze ten loszek ze skopkami mleka, bo, urwis, nieraz z braciszkiem lasował śmietankę, ściągając podejrzenie na koty, które nieraz za to dla nauki moralnej były bite na mniemanem miejscu winy.

I po wymianie tych dwóch myśli syna z matką zapanowywa przykra, posępna cisza. Nad ich głowami zawisła chmura zwątpienia, żalu, niepokoju o jutro i tęsknoty znowu ocknionej. Naraz stacza się trzaskająca głownia z kominka aż na podłogę i wyrywa ich na chwilę z ciężkiego uścisku myśli utrapionych.

— Przyjadą! — wykrzykują w jeden głos matka z synem.

W oka mgnieniu zabobon - pocieszyciel sprawia cuda... Z tej dymiącej głowni, którą wysadziły z ognia ogrzane i utajone w łonie jej drewna gazy, tryskają promyki nadziei. Słuchają...

Słyszą własnej krwi tętno, i grzechotkę świerszcza, i syk drew tlejących, i kulawe „tyk-tak“ zegara, za oknem — głuchą nocy ciszę. Śpi dwór i wieś, oblane półświatłem księżyca... Słuchają... szmery!.. W niemem i jasnem przestworzu coś się gotuje, rodzi — dojrzewa! Biją serca mocniej.

„Może kto jedzie?“

(D. n.).

wysoko, to na inne zbraknie mu odpowiedniej monety i tak też dzieje się w rzeczywistości *).

(D. c. n).

Wacław Nałkowski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

Rehabilitacya Lessinga. — Dramat A. Dulka.

Długie lata czekał Lessing, zanim znalazł się historyk, któryby imię jego, przypuszczeniami król.-pruskich uczonych splamione, z podejrzeń oczyścił. Długie lata, prawie że stulecie całe, błąkała się po umysłach krytyków niemieckich, nawet najznakomitszych, że wymienimy tylko Alfreda Stahra, Scherera i Eryka Schmidta — nieszczęsna bajka, uważająca Lessinga za dworaka Fryderyka W. Ci wszyscy, którzy zestawiali te dwa wielkie nazwiska w dziejach narodu niemieckiego, nie mogli uchronić się od porównania dwu różnych, wrogich sobie wartości moralnych. Dzisiaj dopiero udało się dr. F. Mehringowi na całej linii zarzutów pobić przeciwników na głowę, z postaci Fryderyka zedrzeć tradycyjne osłonki, wyznaczyć jego umysłowości i charakterowi właściwe stanowisko historyczne i obok niego w całej okazałości, w całym majestacie duszy ulać popiersie autora „Dramaturgii Hamburskiej.“ Nie jego to już zasługa, że oczom naszym przedstawiają się obie połączone, jako najzupełniejsze, do drobiazgów nawet różne — kontrasty*). Pisać podobną książkę, to znaczy, wygłaszać przed wielkim sądem dziejowym obronę adwokacką, długą, wymagającą ciągłego natężenia uwagi, raz po raz przechodzącej z historyi na grunt rzeczywistości, obronę obliczoną na silny opór oskarżyciela — obronę wreszcie w istocie swej noszącą wszelkie cechy pewnego zwycięztwa. Okupić ostatnie trzeba długą niekiedy trudną i żmudną pracą, ale też rzadko wygłaszać trzeba obrony dla Lessingów i za Lessingów.

Jest kilka bezustannie cytowanych frazesów Fryderyka, które urzędowi historycy pruscy przytaczać zwykli, chcąc wykazać, jak dalece wielki monarcha pruski wyprzedzał naród swój szerokością poglądu na świat, ludzi i obowiązki swoje. „Jestem pierwszym sługą państwa mojego“ — to w owym błogosławionym trójlistku pierwszy liść wawrzynu; „dzienniki powinny posiadać wolność słowa“ (Gazetten sollen nicht genirt werden) — to drugi; „wszystkie wyznania muszą być tolerowane i każdy powinien być zbawionym na swój sposób“ — to ostatni. Łatwo atoli w świetle historycznej perspektywy nadać tym „złotym słowom“ znaczenie właściwe, stwierdzone rzeczywistością postępowania jego. Uznać siebie za sługę państwa, to znaczyło w ustach Fryderyka ogłosić się za wszechwładnego. Boć przedewszystkiem uczynił on organizacyę urzędniczą równą zastępowi pachołków — posłusznych oczywiście jego woli. Faktycznie rządził też przy pomocy kilku pisarczyków. Oświadczając się za wolnością prasy, miał na widoku tylko stary dyplomatyczny „supeł,“ pozwalający wypowiadać najbezecniejsze zdania o mocarstwach obcych i zarazem umywać ręce, zrzucając wszystko na szerokie plecy „gazeciarskich pismaków.“ Należy także dodać, że i ta osławiona swoboda prasy trwała tylko pół roku. Pozostaje wreszcie tolerancya religijna. I ta nie była niczem więcej, jeno sidłami, zastawionemi na rekrutów i zupełnie naturalnie wypływała z podstaw państwa militarnego, którego najznakomitszym wzorem były Prusy. Wojska Fryderyka posiadały kapelanów wszelkich wyznań, którzy, każdy na swój sposób, wdrażali w nierozwinięty umysł żołnierza świętość życia obozowego; biada temu duchownemu, któryby ośmielił się dezercyi albo wykroczeń przeciw karności nie uważać za grzechy śmiertelne.

Lessing, zanim napisał *Minne von Bernhelm*, poznał był dobrze i życie wojskowe i całą poezyę militaryzmu pruskiego i wejrzał głębiej w zaułki duszy Fryderyka. Rzeczywiście odważne charaktery oficerów mogły mu się podobać więcej, niż tchórzliwe, bezwolne filisterstwo pruskie, mieszczaństwem zwane. W komedyi widzimy więc oficera, który ściąga wzgardę królewską za to, że wśród morderstwa wojennego nie utracił całkowicie uczuć człowieka i stara się zmniejszyć cierpienie wroga. Rzecz jasna, co zamierzał wyrazić w komedyi poeta. Zupełnie tak samo, jak w *Minnie* przedmiotem głębokiego, histerycznego śmiechu miał być Fryderyk, zupełnie tak samo w *Emilii Galotti* pod pręgierz rzuca książęce dwory zeszłego stulecia. W taki oto sposób miał Lessing żebrać łaski króla pruskiego!

Myli się więc Stahr, charakteryzując Fryderyka jako „wielkiego współpracownika wielkiego ziomka swego.“ Samemu tylko Lessingowi przypadła w udziale zaszczytna rola obudzenia z upadku i ze snu mieszczaństwa niemieckiego, które nie posiadało większego wroga, niż rząd pruski. Wolna nauka i poezya — oto była broń jego. Ambony, ani katedry nie posiadał, z którychby mógł głosić przekonania swoje — więc zwrócił się do sceny. Jest to cenna uwaga dr. Mehringa, że wszyscy wielcy poeci klasycznej literatury niemieckiej (Klopstock, Schiller) w walce swej za ideały mieszczaństwa początkowo stali zawsze na stanowisku narodowo-niemieckiem i dopiero kiedy klasy te okazały się najzupełniej zużyte i niezdolne do złamania kajdan — przechodzili na szeroki gościniec kosmopolityzmu ludzkiego.

Nawet estetyczne poglądy Lessinga zabarwione są jego politycznemi przekonaniami w tak silnym stopniu, że niekiedy, jak np. w zakończeniu *Emilii Galotti*, szkodzą dramatowi samemu. Ale czyż był lepszy środek dla wykazania całkowitej nędzy stosunków — jak kazać ojcu zabić swą córkę, gdy oboje nie widzą żadnego ratunku w otaczającej ich atmosferze zgnilizny i upadku? W znakomitym swym *Laokoonie* pojmuje Lessing istotę poezyi w ciągle postępującym ruchu. Czynów mu trzeba było, ciągłych czynów... Kiedy w sławnej swej polemice z denuncyantem pastorem Göze musiał wreszcie otwarcie i jawnie wypowiedzieć swe zdanie w kwestyach znaczenia religii, musiał znowu chwycić się broni ukrytej i stworzył *Natana Mędrca*.

Nazwiska Alberta Dulka napróżno byśmy szukali w urzędowych podręcznikach literatury niemieckiej, nie dla tego, ażeby kilka dramatów, jakie zostawił, nie zasługiwało na uwiecznienie w panteonie sławy narodowej, ale dla innych powodów, które odsłania dość przejrzyście życie jego. Wydawca „Zbioru ogólnego“ *) dramatów Dulka, literat niemiecki E. Ziel, oraz autor pięknego szkicu krytyczno-biograficznego, pozwala odpowiedzieć na to pytanie. Urodzony w bogatym domu w Królewcu (1819), wcześnie już poczuł poeta w sobie zdolności i ciążenie pewne ku ideałowi politycznemu i społecznemu. Już pierwszy dramat jego, na trzy lata przed 1848 rokiem pisany, w bohaterze którego ucieleśnić się starał pragnienia reformy — już ten pierwszy krok w rozwoju jego twórczości zaznaczył zupełne zerwanie z mieszczaństwem. W tej pierwszej dobie uważał zbawienie stanu rzemieślniczego za program działalności swojej i na długo przed Schulze-Delitschem stworzył związki robotników królewieckich. Po dniach marcowych i po zwycięztwie reakcyi, zwiedził katarakty Nilu i w gromach Synaju szukał objawienia przyszłości. Twierdził, że po tych widzeniach czuł w sobie siłę proroka i wrócił do Europy. Kilka lat następnych przebył nad jeziorem Genewskiem, od r. 1858 aż do samej śmierci 1884 r. mieszkał w Stutgardzie, znienawidzony.

W dwu wydanych dotychczas dramatach Dulka talent jego nie jaśnieje jeszcze w całkowitej pełni późniejszego rozkwitu. „Orla,“ tworzony pod oczywistym wpływem Byrona i francuskich pisarzy pierwszych dziesięcioleci naszego wieku — w pogoni za ideałem kobiety nie odsłania jeszcze całej męzkości bohatera-męczennika. Ale już i te pierwociny talentu posiadają głębokie rysy dziejowe. Właściwie tendencyą dramatu jest odpowiedź na słowa Freiligratha, że „naród niemiecki — to Hamlet“; autor sądzi przeciwnie, że nastała już godzina walki i że naród niemiecki odsłoni prawdziwą swą duszę, stając do broni i imieniu swemu (...und Michel heisst zu Deutsch: der Starke!) nada wartość prawdziwą, istotną. Drugi dramat, „Lea,“ jest opowieścią o żydowskim bankierze, który, jako wszechwładny minister księcia wirtemberskiego, ssał z narodu najlepsze soki, doprowadzając go i stan arystokracyi przedewszystkiem do walki rozpaczonej. Dopiero w następnych dramatach, stworzonych na Wschodzie, talent Dulka skrystalizował się doskonale i pozwolił

---

*) Analogiczny pogląd na wartość szczegółów etnograficznych i ich zbieraczy był już na tem miejscu poprzednio w krótkości wypowiedziany tak przez niżej podpisanego (z powodu „obrony“ geografii), jako też przez „Posła Prawdy.“ Pogląd ten wywołał polemikę między innemi w tak poważnem piśmie etnograficznem, jak *Wisła*. Sądzimy, że polemika ta wynikła jedynie z nieporozumienia, które chyba zostanie usunięte powyższym rozbiorem tej kwestyi. A jeżeli p. I. K. mówi przy tej sposobności w *Wiśle*, że „możemy się wiele nauczyć od Maćków,“ to my dobrze wiemy, co taki znawca metod naukowo-etnograficznych mógł pod tym wyrazem rozumieć. Znaczy to, że jeżeli będziemy studyować np. budowle bobrów albo robotę pszczół, to możemy się nauczyć wiele o ich instynkcie, sposobie życia itd., lecz naturalnie nie nauczymy się *od nich* budownictwa ani teoryi maximów i minimów; albowiem nasza technika i nasza umysłowość przebyła już dawno stadyum bobrów i pszczół i nie myśli bynajmniej do nich powracać. Podobnież gdy dowiemy się od „Maćków“ z europejskiej niziny, że kamienie erratyczne „czort rozsypał“; od czarnogórców, że ich góry powstały wskutek rozerwania się worka z kamieniami unoszonego przez Boga; od czikosów — że liczne serpentyny ukochanej ich Cissy powstały dzięki szczególniejszej pieczy jakiegoś świętego, który, chcąc suche ich stepy obdarzyć rzeką, zaprzągł osła do pługa, dosiadł go i zaczął wyorywać brózdę; lecz żarłoczny osioł, szukając trawy, zbaczał co chwila to w jedną to w drugą stronę i pokrzywił brózdę itd., to przez te wszystkie wiadomości zbogaca się nasza wiedza o słabości umysłu człowieka pierwotnego, lecz naturalnie nie nasze teorye lodowcowe, orogeniczne lub hidrologiczne. To znaczy jednem słowem, że p. I. K. mówiąc, iż możemy się wiele nauczyć *od* Maćków, rozumiał przez to, iż możemy się wiele nauczyć *na* Maćkach i na to zupełna zgoda. Ale prosty zbieracz weźmie to natychmiast w znaczeniu dosłownem, w znaczeniu „Łajdowej Pieczary“ i tem tylko szkodę przynieść może, albowiem takie twierdzenia źle zrozumiane, podsycają istniejący obecnie u nas zastęp ludzi, którzy w dobrze zrozumianym własnym interesie są zasadniczymi nieprzyjaciołmi nauki, nie chcą nic wiedzieć o rozumie filozoficznym i odgrzebują stare rzeczy o zdrowym czyli chłopskim rozumie (według którego naturalnie słońce obraca się około ziemi), a posiadając mechaniczną zdolność pisania, bałamucą umysły i tak już bardzo potrzebujące światła.

*) *Die Lessing - Legende. Eine Rettung.* Stutgart, Dietz, 1893.

*) Stuttgart, Dietz, 1893.

mu stworzyć dzieła, które i dla potomnych nie utraciły wartości. Dwa utwory tej kategoryi oraz osnute na tematach historyczno-niemieckich dramaty „Król Konrad drugi“ i „Cesarz Konrad drugi“, złożą się na następne tomiki.

T. K.

LITERATURA POLSKA.

Kazimierz Gliński, *Poezye*.

Z temperamentu, usposobień, uczuciowości, wyobraźni poetą jest K. Gliński. Uprawniony więc to gość Parnasu. „Łatwo mu z krynicy natchnienia pić, jak szary pająk w świetlicy snuć srebrną nić. Rozciągać płótno bez miary, w powietrznej wieszać krainie i biegać po tej tkaninie, jak pająk szary.“ Poezya jego to snuje się drżącym blaskiem miesiąca, to migoce smugą promienną, wabi i pociąga sympatycznie, jak wianek pragnień, rojeń, wiar; płyną w niej szmery, skargi, żale, dzwoni pieśnią srebrzystą, cichą, spada delikatnych świateł kaskadą, lecz wybucha także okrzykiem nadziei i zapału. Poeta potrafi czuć, marzyć, snuć barwną tkaninę rojeń. „Marz, kochaj i szalej“— wykrzykuje naiwnie, lecz z wiarą młodzieńczą i gorącą. Swobodnie wesołym, zapalnym nie może być zawsze. „Duch jakiś — powiada — mię strącił z gwiazd cichych błękitu, smutną twarz ziemi pokazał.“ „Na falach wyobraźnej pianki, wydętych tchnieniem zapału,“ najchętniej jednak pomyka i najswobodniej porusza się w krainie upojeń i snów złocistych. Śliczne, wyiskrzone tęczowymi blaskami natchnienia poetyckiego są jego „Wiośnianki.“ „Pieśń rzucajmy w powietrze, płyńmy w złoty kraj marzeń. Do słońca gońcie skrzydłami orlemi! Chwilę wam bawić w regionach błękitu, oddychać chwilę piersiami całemi.“ „Krzyczcie sobie, że zginął czas, miłości, zapału... Mnie on jeszcze nie minął — znam ja, luba, dni szału. Czuję zachwyt uroczy, świat bym tulił do łona.“ Radzi dalej: „Złotej czaszy nie żałuj, chwytaj dźwięki słowicze, wysącz wszystkie słodycze, wszystkie róże wycałuj.“ Ze swadą butną lub roztęsknieniem obrazuje tematy miłosne. Kobiety u niego występują przysłonięte najczęściej sztuczną mgłą różową. Zdaje się, że w duszy Glińskiego znalazł dźwięczne echo znany wiersz Ujejskiego do kochanki: „Moich natchnień tyś natchnienie, twego ducha jam odzienie, tyś słońce, jam promień! W tobie żyję, w tobie cierpię, z ciebie śpiewam, z ciebie czerpię.“ W wierszu „Pamiętaj o mnie“ zawodzi tęskliwie: „A tak mi słów ciepłych było potrzeba, i ramion twoich, i twych ust uśmiechu! Ducha byś mego zawiodła do nieba. Żyłbym bez grzechu i umarł bez grzechu.“ Do kobiety przemawia łagodnie, pieściwie, z tkliwością kochanka lub przyjaciela zaufanego. Chce być powiernikiem radości jej bezmownych, zatajonych, lub bólów głuchych, smutnych, bezdźwięcznych. Smutną, zawiedzioną pociesza: „Wszystko będzie drogie, nowe, w radość przejdzie żal — wrócą noce księżycowe, zabrzmi koncert fal.“ Uznaje wielką potęgę miłości, wszelkie próby ukrycia lub zdławienia jej są daremne: „Bo nie zagłuszysz ty serca tętna, bo ty bladości nie zetrzesz z czoła.“ Gliński pragnie, iżby poezya jego, jak marzenia, unosiła czytelnika w gwiazd krainę, chce więc być gwiazdą, co w noc majową rzuca blask własny, dniem, w którym natura wdzięczy się słońcu wszechczarów mocą, kwiatem, co wonią upaja i stoi w purpurze. Czuje i poetycznie odtwarza pragnień serdecznych potęgę tajemną. Czarowny płaszcz rozwiewa nad tęsknotami i uniesieniami serca. Pieśń miłości śpiewa z przejęciem się głębokiem i z tęsknotą rzewną. Opłakuje moment, po którym serce, jak kwiat, usycha bez pragnień, rojeń, wiar. Radzi przechowywać miłośnie w pamięci minione szczęście: „Niech myśl twa lekkiem skrzydłem motyla do lubych wróci stron, niechaj tych wspomnień chwila niestarta uderzy w głośny dzwon!“ Miłość pokazuje jako kapłankę, raczej boginię młodą i uroczą, owiniętą stubarwną wstęgą zachwytów i upojeń, otoczoną rojem marzeń tęczowych!

Poezya Glińskiego jest tylko wiankiem kwiecia swojskiego, lecz wonnego. Żywa, choć niezbyt rozległa wyobraźnia poety nie przemawia do nas błyskami piorunowymi. Nie kusi się zgoła, jak Słowacki „ślad wieczny zostawić — myślą wypalić,“ nie potrafi odczuć i uplastycznić wszystkich tajnych, niedomówionych popędów i porywów, przekraść się za kotarę, ukrywającą nasz świat uczuciowy, wpół jawny, wpół przymglony. Myśli nie słowami i zdaniami, nie pojęciami, lecz obrazami i barwami. Czytelnik nie może jednak wyrzec doń, jak do każdego wielkiego poety: „Siebie pojąć nie umiem, nie zdołam bez ciebie.“ Nie sposób zrobić go swojem sumieniem, zaufać mu ślepo, wygrzewać się błogo w jego cieple uczuciowem, upajać się ekstazą jego myśli, cierpieć jego bólami, gorzeć jego nadziejami.

Muza jego nie zawsze sypia na purpurowem łożu marzeń, wobec kobiet nie zawsze jest przymiloną i wywdzięczoną. Nie chce on kobiety kołysać tylko wesołemi myślami, być tajemnym okrzykiem radosnym ich pożądań i tęsknot. Pragnie także wrzucić w ich dusze płodną grudkę poczucia obowiązków i rozmyślań. W wierszu „Na balu“ tak przemawia: „Gdy lekki, uroczy walc koło zatoczy i dźwięki srebrzyste popłyną— pomyśléć chciej o tych, co zamiast snów złotych, stroskaną myśl mają — dziewczyno. Pomyśléć... że może w uniesień tej porze, gdy bujasz jak wicher po polu — myśl czyjaś znużona męczarnią lat — kona, że cicho gdzieś płynie łza bólu, że gdzieś tam w dodatku, duch nędzy, upadku, jak szatan już w sercu się tarza — i ręki twej trzeba, by podnieść do nieba, uczynić aniołem — nędzarza.“

Gliński przywdziewa także zbroję Satyra, ale w roli tej przedstawia się dosyć nikle. Jest to przybrany kostium, w którym nie bardzo swobodnie porusza się artysta-marzyciel. Jako poeta społeczny, nawskroś jest tendencyjnym, szermierzem na krótką metę. „Czy znasz — woła, ten kraj, gdzie marzeń czas nie zwiewa, gdzie wstaje duch do walki wciąż zwycięzkiej, gdzie zamiast słów powodzi, promienny czyn jak słońce jasno wschodzi?“ W wierszu „Rok 1892“: „Z odmętu chmur, z chaosu mgławic, na czole niosąc znak sfinksowy,“ ukazuje się widmo wojny jako najdonioślejsza zapowiedź dziejowa następującego roku W karceniu zdrożności i nieprawości społecznych jest krótkowidzem duchowym. Wiersze jego tej kategoryi nie zdołają serca naszemu w rytm dzwonić. Napisał parę „Ballad w nowym stylu,“ w których „Demon jego poetyczny“ występuje jako sędzia-oskarżyciel. Jedna z takich ballad maluje hulakę i utracyusza hrabiego, żonatego już, lecz chcącego poślubić bardzo posażną pannę.

We wstępie do swych utworów poetyckich powiada Gliński: „Śmiech i łzy niosę — małą cząstkę siebie... Śmiechu tu więcej, choć łez więcej ściekło.“ Każdy poeta składa nam w ofierze siebie, to jest swoje wrażenia, uczucia, nadzieje i wiarę. Im potężniejszą i bogatszą jest indywidualność, tem więcej z niej korzystamy, tem więcej zyskuje na tem nasz świat wrażeniowy i uczuciowy. Okrzyk Wiktora Hugo: „Skoro mówię o sobie, mówię o was,“ powinien być wiarą każdego talentu poetycznego. Otóż, niestety, te słowa wielkiego poety nie dadzą się zastosować do Glińskiego.

Czasem patrzy na świat także przez łzy zwątpienia i bólu. W wierszu „Błędny ognik,“ bardzo kunsztownym i wykwintnym, powiada, że szczęście to właśnie błędny ognik, co skacze i migoce a nie da się pochwycić. W innem miejscu znów („Z jesiennych pieśni“) odzywa się: „Wiosna! ja znałem wiosnę... Lato! przeszło lato... Dzisiaj dłonie wyciągam do ciebie — Jesieni! Kocham ciebie, Jesieni! Za tę smutków ciszę, za szare niebo twoje, jak chat wiejskich dymy.“ Osnową bardzo wielu żałośliwych utyskiwań jest wykrzyk: „Nie dla mnie już!“

Na przyrodę, jak kochanek naiwny i młody, rzuca płaszcz efektowny, utkany z błękitów i promieni księżycowych, lecz nie potrafi świadomie rozkoszować się wdziękami, z artyzmem dojrzałym i wytrawnym. Potrafi ją wielbić tylko, jak rycerz na klęczkach, a nie jak możny arystokrata ducha wyszukiwać starannie i z polotem artystycznym jej skarbów różnorodnych i upajać się niemi.

Niezbędną właściwością każdego poety — podług słów pewnego krytyka francuskiego — jest być zawsze młodym i wiecznie dziewiczym. Pod tym względem Gliński odpowiada żądanej mierze. Z tem wszystkiem poezya jego w naszem pokoleniu jest kwiatem zeszłorocznym; ucieleśnił w kształtach artystycznych tylko to, co jest na wierzchu prądów życiowych, dotarł tylko do progu zagadnień nowoczesnych, nie potrafił dojrzeć głębiej utajonych nurtów. W paru miejscach wypowiedział swoje ideały społeczne, ale jakież bezbarwne i niemocne! Przytoczymy następujący ułamek ze „Snu“: „Idyliczny świat się wskrzesza, — pieśń miłości nieskończona. I nie znano trwogi grzechu, nie widziano widma zbrodni; nakarmieni byli głodni, ust nie było bez uśmiechu... W każdym szmerze, w każdem echu dźwięk słyszałeś: Nieba godni!.. Wyśnił mi się świat bez grzechu.“

Gliński nie posiada w sobie prawie nic kapłańskiego, proroczego, bojowego. Opiewa „Bartka“ gajowego, co zabił nadleśnego, który uwiódł mu ukochaną żonę, „gęsiarza,“ co rozpoczął karyerę swą najmity bezdomnego pasaniem gęsi i zakończył. Najsympatyczniejszym wierszem z tej kategoryi, co prawda, bardzo szczuplej, jest „Nie tak! — Nie tam!“ „Miał jeno kawał sukmany i silne dłonie — pracował nieraz o głodzie, rąbał drwa w lesie— pasł konie, gdy księżyc świecił rumiany, na ziemi sypiał w znak nie tak jak pany — nie tak.“ Miłość autora do ludu pracującego jest bardziej przelotna, nie posiada wszystkich odcieni i znamion ukochania głębokiego i zapalnego; nie dźwięczy targającym duszę żalem i smutkiem, śmiałą obroną, łaską dobrotliwą ojca, gorącą mową publicysty, natchnionym porywem poety.

Bron. Lud.

KAROL GOUNOD.

(Wspomnienie pozgonne).

Urządziwszy głosowanie powszechne ludzi ukształconych całego świata nad pytaniem: która opera najbardziej im się podoba, z pewnością dla *Fausta* zebralibyśmy najwięcej wielbicieli. Nie rozstrzygając słuszności takiego sądu, przyznać trzeba, że jest to jeden z najpiękniejszych utworów artystycznych ducha ludzkiego. Dzieje sztuki wykazują wiele wypadków jednorazowego świetnego błysku geniuszów, z którym ani poprzednie, ani następne nie mogą się mierzyć. Takim błyskiem jest *Cyrulik sewilski* Rossiniego, *Raj utracony* Miltona, *Komedya boska* Dantego, u nas *Kirgiz* Zielińskiego itp., takim olśniewającym wytryskiem na-

tchnienia był również *Faust* Gounoda. Pomijając poprzedzające go: *Sapho*, *La Nonne sanglante*, *Le Médecin malgré lui*, *Ulysse*, również późniejsze: *Le Colombe*, *Philemon et Baucis*, *La Reine Saba*, *Mireille*, *Sardanapale*, *Francesca de Rimini*, *Cinq Mars*, *Le Tribut de Zamora* żywiły się tylko sławą twórcy *Fausta*. Nawet najlepsza i najgłośniejsza z jego ostatnich oper, *Romeo i Julia*, była księżycem czerpiącym światło od tego słońca. *Fausta* mniej lub więcej podziwiają wszyscy, jego melodye wsiąkły w uczucia milionów i dotychczas są dla nich źródłem nieustannego zachwytu. Jeżeli jaką operę można nazwać popularną w najszlachetniejszem znaczeniu tego słowa, to *Fausta*, gdyż nietylko jest on szeroko znany, lubiany, śpiewany i grany, ale pomimo że 30 przeszło lat jego melodye przelewają się przez wszystkie instrumenty i gardła ludzkie, nie zostały dotąd „spospolitowane.“ Taka w nich dostojność artystyczna.

Gounod umarł mając lat 75. Od pewnego czasu już zupełnie przestał tworzyć i żył tylko jako czcigodna pamiątka.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Etyka krakowska. — Wybory we Lwowie. — Postęp.

Czytelników naszych zajmowaliśmy już tylokrotnie sprawą ostatnich wyborów do Rady miejskiej, że nie należałoby jej już poruszać — ze względów zrozumiałego współczucia. Pominęlibyśmy tedy milczeniem nawet sprawdzenie wyborów, które bywa zazwyczaj prostym aktem formalnym, nie mówilibyśmy o unieważnieniu kilku mandatów a zatwierdzeniu innych, gdyby pomiędzy tymi ostatnimi nie szło nam o jednostkę, dla obecnej moralności krakowskiej — typową. Klasyczna bo też to moralność! Kraków jest kwintesencyą konserwatyzmu. Mimo to w pewnym kierunku postępuje od lat kilku tak prędko i tak wytrwale, że zdawałoby się, iż w szybkim tym biegu z torebki, w której skrzętnie przechowuje nie tylo sympatyczne, nie dla ogółu europejskiego „zrozumiałe“ wyznania wiary, uronić może trochę przynajmniej próchna. Tymczasem próchna w torebce gromadzi się coraz więcej, ubywają stąd natomiast resztki pojęć o „czystych rękach“ i „nieskalanym honorze.“ Były tu czasy takie, kiedy dwie wspomniane własności stanowiły nieodzowny warunek dla osiągnięcia i zajmowania wybitniejszego stanowiska społecznego, dla sprawowania władzy, kontrolowania działalności jednostek i ogółu itp. Dziś spostrzegamy objaw wręcz przeciwny. Ręce nieczyste i honor nietylko skalany, ale mocno podszarpany są najpewniejszą gwarancyą tak zwanego powodzenia. Ibsen z niedowierzaniem zatrząsłby swoją grzywą, a możeby ryknął gniewnie, gdybu mu przedstawić „podpory naszego społeczeństwa“!

Ograniczymy się na skreśleniu kilku tylko sylwetek, które zarysowują się najwyraźniej na mętnych falach życia z czasów ostatnich. W liście zatwierdzonych radców miejskich znajdujemy nazwisko pewnego pana, który przed trzydziestu laty był ubogim żydkiem, nie czując zaś zamiłowania do uczciwej pracy, postanowił dorobić się majątku sprytem. Jął się więc dobrze płatnych agitacyj wyborczych i innych zręcznych sztuczek, które mu w rezultacie przyniosły pełną kiesę i — stanowisko. Droga do karyery usiana jest jednak zielem, które, gdy się go za dużo zerwało, zapachem zwraca baczność stróżów porządku publicznego i przedstawicieli władz państwowych. W takim razie panów żądnych karyery stawia się przed kratki sądowe. Kwalifikował się przed nie i nasz bohater a tylko szczęśliwe losy uchroniły go dotąd przed ślepą niestety Temidą. Bo proszę osądzić, czy nabycie wkładowej książeczki kasy oszczędności na blizko 4,000 złr. — nabycie jej od osoby podejrzanej — za sumę 600 złr. i postaranie się o zniknięcie sprzedawcy — jest ze stanowiska karno-prawnego i etycznego — czynem, upoważniającym sprawcę do piastowania godności radcy miejskiego? A jednak pan, o którym mowa, jest ojcem miasta, cieszy się szacunkiem ogółu, jest wice-prezesem zboru, członkiem Izby handlowej itp., co więcej, na żądanie otrzymuje zewsząd poświadczenia swojej uczciwości, które oczywiście po wszystkich pismach rozgłasza. Nawet dochodzenie karne, początkowo przeciwko niemu rozpoczęte, utonęło pono w jakiemś bagnie zapomnienia...

Inne poważne i poważane instytucye naszego miasta poszczycić się mogą również zacnymi członkami. Oto np. jeden ze starszych profesorów wszechnicy, pozostający zarazem w dość ścisłych stosunkach z Akademią umiejętności, sprzeniewierzył w grze giełdowej kilkadziesiąt tysięcy złr. — z funduszów wspomnianej instytucyi— poczem znikł. Fak ten jest jeszcze jednym wymownym dowodem na stwierdzenie niedbalstwa i lekkomyślności w zarządzie groszem publicznym. Czy się to jednak kiedykolwiek zmieni i czy zmienić się może, skoro opinia podobnego złodziejstwa nie piętnuje, starając się przeciwnie zatrzeć wszelkie po niem ślady. Prezes Akademii, p. Tarnowski, spłacił deficyt pieniędzmi własnymi, w organie stańczykowskim zaprzeczył prawdziwości powyżej przytoczonego *faktu*, nadto zaś „kolegę“ zaopatrzył w fundusz — na podróż „naukową,“ w której „muzykalny“ profesor hygieny, hygienicznej może dla siebie badać będzie kasy innych akademij i kursy innych giełd.

I trudno, ażeby opinia publiczna nie była zdemoralizowaną, skoro kierują nią osobniki z gruntu zepsute, brudne, nikczemne. Mamy na myśli jednego z bardzo znanych redaktorów tutejszych, który, dopuściwszy się we Lwowie kilkakrotnych nadużyć, przybył do Krakowa z postanowieniem zrobienia karyery. Szczęściło mu się niesłychanie. Odgadł, że hasła katolicyzmu i konserwatyzmu zapewnią mu poparcie całej trzody stańczykowskiej i dlatego, zapisawszy się w szeregi dziennikarskie, zaczął propagować idee ultra-katolickie i ultra-wsteczne. Panowie zwąchali się z nim odrazu, a uznawszy, że posiada sumienie dość elastyczne, aby stać się narzędziem w ich ręku, zaczęli się nim opiekować i zabiegi jego popierać. Dzięki temu poparciu, pupil ich został naczelnym i bezczelnym redaktorem dość poczytnego pisma i z szarego wróbla przeistoczył się w pysznego pawia, któremu ani hołdów, ani uznania nie szczędzono w sferach „najwyższych.“ Z wdzięczności widać zaglądał dość często do kiesy swoich wielbicieli. Z jednym zawarł nawet umowę, na mocy której panek ów nabył niby pismo na własność, niedobory zobowiązał się pokrywać, a redaktora, pod rygorem zapłacenia kary w kwocie 20,000 złr. — przy kierownictwie organu zatrzymać. Różnemi sztuczkami redaktor wyłudził od właściciela sumę 120,000 złr., tj. cały prawie jego majątek. Gdy więc źródło to wyschło, stańczycy zaś przekonali się, że wychowywanie i żywienie fabrykanta opinii publicznej jest sportem zbyt kosztownym, ów redaktor zwrócił się do znienawidzonych żydów, przyrzekając, że stanie się filosemitą, jeżeli otrzyma odpowiednią zapomogę. Głupi żydzi interesu widać należycie ocenić nie umieli i — odmówili. Sprawki redaktora zostały natomiast należycie ocenione w jednem z tutejszych pism humorystycznych, czego rezultatem jest proces, wytoczony naturalnie o „obrazę czci.“ Wyniku rozprawy przesądzać dziś jeszcze niepodobna, dość nadmienić, że oskarżony podjął się złożenia dowodu prawdy, a sąd postanowił słuchać świadków na następujące okoliczności: 1) że redaktor, na uniwersytecie jeszcze, ukradł zegarek; 2) że, koncypientem będąc, kradł pieniądze na stemple; 3) że bawiąc w gościnie u pewnego obywatela, tajemnie sprzedał kilka korcy zboża; 4) że sprzeniewierzył kaucyę funkcyonaryusza redakcyjnego; 5) że licznych kupców tutejszych naciągnął na różne pożyczki, bawiąc się niby w protektora handlu i przemysłu; 6) że tutejszemu adwokatowi żydowskiemu proponował popieranie sprawy żydowskiej za odpowiednią zapłatę itd. itd.

We Lwowie odbyła się gorąca walka wyborcza o mandat poselski do Rady państwa po Franciszku Smolce. Do zapasów stanęli „hofrath“ Piętak i Henryk Rewakowicz. Nic dziwnego, że zwyciężył pierwszy, skoro miał za sobą nawet namiestnika, który nie wahał się poprzeć go publicznie w sposób co najmniej nietaktowny i niestosowny. Mimo to Piętak zwyciężył przeciwnika swego tylko 150 kilku głosami, co jest dla nas dowodem, że Lwów w ostatnich czasach znacznie się zmienił i że pokaźna część społeczeństwa tamtejszego pojęła wreszcie potrzebę dążenia do przekształcenia panujących dziś stosunków.

Ferropar.

Z NAD NEWY.

IV.

(Dokończenie).

Blizko setka najwybitniejszych dzieł posłaną została przez zarząd Akademii na wystawę do Chicago, gdzie pono wszystkie, niebędące uprzednio własnością rządu, znalazły nabywców za oceanem. Do posłanych tylko dla popisu należy przepiękny obraz „Chrystus u Marty i Maryi,“ malowany przez Siemiradzkiego. Twórca plafonu *al fresco* w „Chramie Spasitiela“ w Moskwie, wyobrażającego moment stargania węzłów między kościołami, stojący każdą z nóg swoich w innym panteonie narodowym, reprezentowany jest obecnie w Akademii tylko przez jeden obraz: „Zaufanie Aleksandra W. do swego lekarza Filipa.“ Atoli sypialnia władcy macedońskiego, która oczywiście nie miała nad sobą błękitu nieba, pod sobą błękitu wód, a wokoło drzew, rzucających delikatne cienie liści, nie dała Siemiradzkiemu pola do ujawnienia wszystkich zalet subtelnego pędzla.

Pomimo luk, sprawionych przez wystawę w Chicago, oględziny Akademii dostarczają prawdziwego zadowolenia estetycznego widzowi.

Dyletant, w rodzaju piszącego, przedewszystkiem uderzony tu zostaje bogactwem i różnorodnością tematów. Artyści czerpali natchnienie i w swawolnych scenach starożytnej mitologii, i w posępnych obrazach Biblii, i w chwytających za serce epizodach ewangelii; naprzemian fantazya i natura, wypadki z historyi narodowej i obcej, charakterystyczne studya życia wschodniego, wreszcie proste, a rzewne sceniki domowe, służyły za przedmiot chciwemu pędzlowi, który tworzy drugi świat w świecie istniejącym.

Lubię zwiedzać galerye obrazów, zwłaszcza gdy cisza pustych sal dozwala płynąć swobodnie potokowi wrażeń. Każde przeniesienie oczu jest skokiem przez olbrzy-

mią przepaść zmian: łączą się odległe krańce ziemi, mieszają się oddalone wieki, czas i przestrzeń upodobniają się do katogoryj Kantowskich. Jeden krok na gładkiej posadzce i jedna chwilka niewidoczna na zegarze, a po morderczej scenie średniowiecznych czasów oko odpocznie na krajobrazie łąki, na której szara gromada greckich nimf z miłego domowego zacisza przenosi się nad na rozhukano oceanu fale; jeszcze nie rozwinął się w pełni uśmiech, wywołany przez wdzięczną postać kobiety, objadającej chciwie łodygę winogron, albo lubicznie wyciągającej się po kąpieli, a już pierzcha on, ustępując bolesnemu skrzywieniu ust na widok innej kobiety, na której bladych licach i zamglonych oczach śmierć widomie kładzie swoje piętno.

Ta umierająca kobieta — to Kamilla, siostra Horacyusza, przeszyta krótkim rzymskim mieczem przez zwycięzkiego brata, oddana niemal z miłością pędzlem dwudziestodwuletniego Bruniego. Zwycięzca Kuracyuszów z dumą spogląda na krwawe dzieło swoich rąk; nie widzi on bolesnego wzroku starca złamanego tym ciosem, zwracającego się ku niemu z niemym wyrzutem, nie widzi skurczonych przerażeniem i rozpaczą lic otaczających Kamillę służebnic; przekonany jest, że spełnił jedynie obowiązek, zabijając siostrę, płaczącą po śmierci wroga kraju, chociaż ona płakała tylko po tym, kogo kochała!

Na wystawie Akademii uderza mnogość tematów tragicznych. Można by rzec, że podobnie, jak literatura ruska lubuje się w odtwarzaniu drgnięć duszy, tak malarstwo postawiło sobie za zadanie odtwarzać drgnięcia muskułów twarzy pod wpływem wzruszeń i namiętności.

Łzawe oczy Inezy de Castro w oczach widza budzą zaraźliwe łzy Magdaleny Tycyana. Gasnący wzrok Kamilli prześladuje długo jeszcze po oderwaniu spojrzeń od obrazu. Grozą przejmuje Prometeusz, miotający na skale przekleństwa przeciw Zeusowi. Przeraża Kain, uginający się pod brzemieniem gniewu Jehowy. Przykuwa oczy wyprężające się konwulsyjnie ciałko opętanego dziecięcia, nad którem Jezus wyciąga lecznicze ramiona. (Obraz Kriukowa). Strach śmierci doskonale wyrażony jest w twarzach i postaciach dzieci Godunowa, nasłuchujących dobijania się do zamkniętych drzwi krwawych wysłańców Szujskiego (obraz Szachowskiego). Trwoga i zmieszanie widnieją na twarzach spiskowców za niespodzianem ukazaniem się na progu potężnej figury Piotra W. (obraz Charlemagna). Święta zgroza bije z sędziwych lic Apostoła Jana, którego kazanie na wyspie Tatmos spotyka drwiące miny nagich bachantek, wyciągających doń czary, napełnione winem. (Obraz Millera, ucznia Briułłowa). Całą duszę układają w ostatni uścisk, matka i córka — chrześcianki, wypędzane przez żołdaków rzymskich na widniejącą zdala arenę Kolizeum, gdzie tłum niecierpliwych widzów oczekuje widoku krwi z taką samą chciwością, jak wyrywające się do uczty z klatek drapieżne zwierzęta. (Obraz przedwcześnie zmarłego Flawickiego, ucznia Bruniego). Bezsilną wściekłością dyszy twarz Dymitra-Samozwańca, słyszącego z okna wrzawę domagających się jego śmierci głosów motłochu, na odgłos której zbiega ze wschodów w nocnym stroju strwożona Maryna. Jakkolwiek pierś twórcy ostatniego obrazu, profesora Akademii, Weniga, pokryta była równie obficie medalami Akademii, jak pierś starożytnej bogini Rei — organami karmicielskimi, to przecie, mojem zdaniem, postać Maryny wyszła z pod pędzla tego artysty bardzo słabo, skutkiem czego śmiem go uważać za lichego... Marynistę.

Większość wymienionych obrazów przywodzi na pamięć stare wyrzeczenie: *homo homini lupus.* Dzieje broczą się potokami krwi. Śmierć jednych ludzi jest potrzebą i rozkoszą drugich. Człowiek posiada instynkty szakala, hyjeny i tygrysa.

Ale i twórcza natura rozwija niszczące okrutne siły. Oto na łódce grono rozbitków: zielony bałwan wali się na nich, grożąc zatopieniem; spiętrzone wody zmieszały się z chmurnem niebem w jedną całość; w pobliżu brzeg — twarde, bezlitosne opoki gór granitowych. Twórcą tego obrazu (Burza u przylądka Aja) jest Ajwazowski, który przedziwnie podpatrzył wszystkie tajemnice grających fal morskich, zachował w czułej pamięci najdelikatniejsze półświatła i półcienie, pochodzące z załamania promieni słonecznych w wodach. Doczekał się on zaszczytu, którego dopiął poprzednio jeden tylko malarz ruski — Kipreński (Schwalbe): portret jego został umieszczony w galeryi pałacu Pitti, gdzie zgromadzone są portrety największych mistrzów pędzla doby minionej i obecnej.

Po szeregu wstrząsających obrazów niechaj-że oko czytelnika odpocznie na obrazie łąki bujnie porosłej różnobarwnem kwieciem. Jest to płótno malowane w duchu nowej, impresyonistycznej szkoły, znajdującej dotąd niewielu adeptów w łonie Akademii. Za zbliżeniem się do tego obrazu widzisz tylko grube warstwy barwnych plam, ale odległość daje doskonałe złudzenie kwiecistej łąki.

Doprawdy, nie pojmuję, czemu u nas tak mocno oświadczono się przeciw tej szkole. Mojem zdaniem, prawo bytu czerpie ona w naśladownictwie świetlnych efektów życia. Toć i w życiu często tam, gdzie zdala dostrzegamy coś pięknego, za zbliżeniem się widzimy tylko plamy.

Leo-Belmont.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

XVII.

Chicago, wystawa.

Amerykanie lubią swoich staruszków: nie chowają ich do kątów, ale wyprowadzają na światło dzienne i szczycą się nimi. A mówię nie tylko o ludziach w podeszłym wieku — szacunek dla starości w tej mierze może się równać jedynie z pobłażliwością dla małych urwisów. Mam na myśli innych staruszków — martwych. W naszej części świata patrzy się na nich z góry, idą oni do składu rupieci zapomniani. Może wnukowie tak mało odbiegli od dziadów, iż nie chcą rumienić się ze wstydu. Za morzem inaczej.

Biały gród na każdym kroku dostarcza wymownych przykładów. Zajdę do Halli rolniczej a wszędzie, wśród młodego pokolenia żniwiarek i wiązałek, spotykam zestarzałych, zrujnowanych w pracy przodków. Ich grubiańska, niekształtna postać świadczy, że nie inne były ich ruchy podczas czynnego żywota. Naklejona kartka głosi, że przecież tego gbura uważano naówczas za ogromną doskonałość. Idę dalej — natrafiam na nieboraczkę sochę, dokoła której gromadka fermerów coś rozprawia i z litością patrzy na antyk. Ale w tej litości czuć jakieś rzewne uczucie — szacunku dla niedołężnej, lecz ongi pożytecznej zgrzybiałości.

Albo zajdźmy do halli środków komunikacyjnych. Pod gołem niebem wystawiono jakiś dziwny pociąg, jaki figuruje w zaprzeszłowiekowych podróżach. Powozy-lektyki, nieco przypominające nasze omnibusy, stoją obok siebie, każdy na dziesięć osób. Jest to pierwszy pociąg kolei żelaznej, który zjawił się na terytoryum stanu new-yorskiego. Parowóz lilipuci, a wagon jeszcze drobiazgowo odtwarza kształty powozu: w tyle ma miejsce na tłomoki podróżnych, w górze tak zwany fartuch skórzany do przykrycia walizek. Osobliwie wygląda ten zabytek niedawnej przeszłości. I to na tej samej drodze, po której dzisiaj kursuje sławny *Flyer.* Jego jeden wagon jest dłuższy, aniżeli ów cały pociąg! Gdybyśmy weszli do środka halli, ujrzelibyśmy mnóstwo takich staruszków. Zobaczylibyśmy Johna Bulla, pierwszą lokomotywę na ziemi amerykańskiej. Z jaką czcią ją wygrzebano ze składu, z jaką troskliwością odświeżono, z jaką paradą powieziono na wystawę! Miasta urządzały tryumfalne bramy, szły niby z chlebem i solą na powitanie staruszka, władze salutowały, gazety poświęcały całe numery. Nie wiem, czy żelazny książę podczas przeszłorocznego letniego *pronunciamento* był witany z podobną serdecznością i wspaniałością, z jaką spotkał się w podróży martwy sprzęt. Zasłużył na to, był zwiastunem nowej, postępowej ery.

* * *

Ustrój wzajemnej konkurencyi posiada straszliwego smoka, któremu bezustannie ciska do gardzieli haracz a jednak nigdy nie zdoła zaspokoić jego żarłoczności. Każdy z ofiarników Mamony jest obowiązany znosić całopalenie temu potworowi, wijącemu się u stóp złotego cielca — nadaremnie, bo nigdy go nie nasyci. Smokiem tym jest reklama.

Przekonywa o tem wystawa. Jest ona bowiem siedliskiem reklamy, wzajemnie współzawodniczącej, wabiącej ku sobie kundmanów. Wielkie prawo rządzi wspaniałością pojedynczych działów Białego grodu. Te dziedziny ludzkiej działalności, w których zapanował monopol albo gdzie konkurencya, chociaż istnieje, nie jest burzliwym potokiem, łamiącym czółna ludzkie — te dziedziny wystąpiły na wystawie bardzo skromnie. Bo i po co siebie reklamować, po co dawać haracz smokowi? Kundman i bez tego zawita. Wystawność rozpoczyna się tam, gdzie konkurencya stanowi zasadę bytu, a jej wartki prąd ustawicznie zagraża nieopatrznemu i mało zapobiegliwemu geszefciarzowi, że ot! roztrzaska jego łódź o skałę i zatopi w odmęcie bankructwa. Wśród takiego huczącego i niebezpiecznego żywiołu żeglują np. towarzystwa kolejowe. To też każde z nich pospieszyło z całym arsenałem środków i środeczków, ażeby w pamięci kundmanów utrwalić swoje imię — a zatem posiada własny gmach, popisuje się tunelami, mostami, krajobrazami. Ileż kosztowały te całopalenia na ołtarzu reklamy?

Albo idźmy do halli przemysłu lub maszyn rolniczych. Reklama czyha tam na każdym kroku. Woła ona zbytkiem pawilonów—ktoś zbudował swój pałacyk z paru milionów kawałków różnokolorowego szkła, a ułożenie jest tak misterne, iż możnaby sądzić, że jesteśmy wśród malowideł na ścianie. Kusi ona podarunkami, niekiedy kosztownymi, ale zaszpeconymi przez adres reklamującej firmy. Gdybym miał więcej czasu, poświęciłbym dni kilka na studya nad fortelami amerykańskiej reklamy. Zaprawdę, jest co studyować!

* * *

Gmach, w którym usadowiła się wystawa rybacka, wywiera na mnie wpływ mocno pociągający. A jednak wnętrze nie przedstawia z pozoru nic szczególnie powabnego. Stosy blaszanek najrozmaitszego kształtu i wielkości z malowidłami raków, ryb, ostryg; portyery ponad pawilonami i pod arkadami ułożone z tysięcy stóp sieci; bateryę słoików z tranem, oto co rzuca się w oczy w głównym korpusie budynku—nic więcej, chyba że ktoś pocznie szukać uważniej. Nad temi pudełkami i beczkami, wreszcie nad suszonemi rybami, zawieszonemi

tu i owdzie bez najmniejszego pokrycia, unoszą się nie zbyt przyjemne odory stęchlizny i znanej woni. A przecież, wbrew temu wszystkiemu, gmach rybacki pociąga mnie ku sobie...

Po za nieprzyjemnemi bowiem woniami majaczy tam nowy, chociaż jeszcze niezbyt wyraźnie zarysowany ustęp przyszłych dziejów ludzkości. Należy nieco porozmawiać ze specyalistami, nie tymi, którzy żywot swój pędzą gdzieś w zaścianku i dalej swego nosa myślą nie wylatują, ale z takimi, którzy swoim wzrokiem obejmują dalekie widnokręgi; nieco poszperać w specyalnych czasopismach; uważnie przyjrzeć się różnym przedmiotom, tablicom i fotografiom w pałacu zawodu rybackiego, a żywioł wodny przedstawi się inaczej. Huczące morze pociągało ku sobie wyobraźnię niejedną, spokojny, cichy, ale nieustanny plusk bałwanów o brzegi niecił w duszy artysty najrozmaitsze iskry—dźwięków, wyrazów, barw. Ale że kiedyś stać się ono może niewyczerpaną kopalnią środków żywności, że kiedyś ryba odegra potężną rolę w dziejach rodu ludzkiego, ta możebność nikomu nie przychodziła do głowy, a raczej przychodziła, lecz tego rodzaju mózgom, które trzeźwy rozsądek uważa za podejrzane. Nadeszła jednak godzina sądu dziejowego: dzisiejsza chwila „waryatów“ promuje na proroków, o trzeźwości zaś przebąkuje coś ironicznego.

Względem morza wciąż jeszcze stoimy na szczeblu dzikości, kiedy istota ludzka zbiera tylko to, co przyroda łaskawą była ofiarować, a nadto w tem miejscu, w którem raczyła to uczynić. Naturalnie, od owych zamierzchłych czasów, gdy nasza daleka prababka po piersi stała w wodzie, czatując na morską zwierzynę, lub gdy jakiś praszczur kąpał się w tłuszczu rozkładającego trupa wielorybiego, którego szczęśliwy traf rzucił na wybrzeże, uczyniliśmy niezmierne postępy. Posiadamy parowe maszyny do miotania harpunów, czynimy setki wiorst, żeby wyszukać potworów, mieszkających w morzu, udoskonaliliśmy narzędzia połowu w najwyższym stopniu. Ale na tem koniec, dalej nie idziemy. Wciąż jesteśmy rabusiami, przy pomocy rozwiniętej techniki niszczącymi skarby oceanów—bez myśli o jutrze. Powoli jednak świtać poczyna jutrzenka innej epoki. Po głowie błąka się świadomość, że do morza zdołamy zastosować tę samą kulturę zootechniczną, jakiej widownią są nasze pola, ogrody i obory. Specyaliści z kredką w ręku prowadzą obrachunki, ile pokarmu wydałaby toń morska przy racyonalnej hodowli — hodowli, która możliwą jest tylko wtedy, kiedy jedna centralna ręka, jako wykaz zsolidaryzowanej pod naciskiem ekonomicznych potrzeb woli rodu ludzkiego, obejmie kierownictwo nad przestworami wodnemi i usunie zastępy dzisiejszych rzezimieszków, uwijających się na powierzchni żywiołu morskiego. Ktoś usiłuje dowieść, że akr morza wyżywić zdoła dziesięćkrotnie większą ilość istot dwunożnych, aniżeli taka sama powierzchnia ziemi. A wobec tego do ilu miliardów wzrosnąć może zaludnienie naszego globu?

Żywioł morski oddziała jeszcze w inny sposób. Czarnoziem równin Dakoty i Minnesoty daje w najwyższem przecięciu około 30 buszli zboża z akra; na doświadczalnej stacyi rolniczej w Massachusets, skutkiem racyonalnego mierzwienia, wydała o wiele gorsza gleba aż 73! Rozmiary pokarmu, wydobywanego z roli, zależą od nawozu; jeżeli będziemy mogli dowolnie zwiększać ten posiłek, plony wystarczą na danie kęsa chleba największym ciżbom. A morze stanie się również, przynajmniej stać się może, niewyczerpaną skarbnicą mierzwy. Zarodki tej przyszłości oglądamy już dzisiaj w gmachu rybackim. Piętrzą się tutaj słoiki, pełne szarej mączki. To sztuczne nawozy z odpadków, jakie dotychczas bezużytecznie gniły, zarażając okoliczne powietrze. *L. K.*

PAMIĘTNIK.

Spadłe zapisy.

Po sprzedaży przez licytacyę domu przy ulicy Oboźnej — jak donosi *Kuryer codzienny* — spadło z hipoteki około 67,000 legatów dobroczynnych, zabezpieczonych przez znaną filantropkę Teklę Rapacką. Nie pierwszy to i zapewne nie ostatni wypadek takiej zatraty sum dobroczynnych i dlatego warto się nad tą sprawą zastanowić. Główną przyczyną jest tu bardzo bojaźliwe a często niedbałe zachowanie się obdarowanych. Nasze zakłady miłosierdzia publicznego upominają się tylko i odzyskują gotówkę, złożoną w banku; ile razy zaś mają wierzytelność na hipotece obciążonej, cofają się przed wszelkiem dochodzeniem, a już udziału w licytacyi boją się jak ognia. One lubią tylko pieczone gołąbki. Wiedzą o tem doskonale wszyscy, mający jakikolwiek interes w sprzedażach nieruchomości za nizką cenę. Zapis dobroczynny jest dla nich sumą martwą, z którą liczyć się nie potrzeba. Jeżeli po za nim nie stoi na hipotece dług prywatny, do którego wierzyciel doprowadzi przetarg, można być pewnym, że dobroczynność grzecznie zejdzie z drogi. Dzięki tej pewności zdarza się ciągle, że legaty zabezpieczone w pierwszej połowie szacunku ziemi lub domu spadają na licytacyach i w ten sposób „oczyszczony“ majątek powraca do... poprzedniego właściciela. Jakkolwiek nabycie folwarku dla uratowania swej sumy przez instytucyę publiczną może w pewnych okolicznościach nie stanowić dla niej żadnego niebezpieczeństwa, tem bardziej że zwykle ma ona w swym zarządzie ludzi bogatych i z tego rodzaju tranzakcyami doskonale obeznanych, pojmujemy tu wszakże obawę lub niechęć wobec konieczności prowadzenia kłopotliwego gospodarstwa z oddali itp. Ale czem może grozić nabycie kamienicy w Warszawie, naturalnie jeśli tę kamienicę nabyć warto? Posesyę przy ulicy Oboźnej kupiono za 68,000 rs., legatów zaś spadło 67,000. Czy podobna przypuścić, ażeby Rapacka, kobieta bardzo rozumna i praktyczna, a względem tych, których obdarowała, bardzo uczciwa, naprzód umieściła tak znaczną sumę na zupełnie nieodpowiedzialnej hipotece a następnie zaofiarowała ją dobroczynności? Naturalnie pytanie to, jak wiele podobnych, pozostanie bez odpowiedzi, gdyż „spadanie zapisów“ z hipotek odbywa się tak cicho, jak w próżni i nigdy zakłady, które postradały jakiś legat, nie zaznajamiają nas z historyą i powodami tej straty, a zatem nie narażają nawet swych krzywdzicieli na żadną kompromitacyę przed społeczeństwem. A jednakże temu niedbalstwu i tolerancyi dla nadużyć należałoby zapobiedz.

Nowy okólnik.

Zarząd kolei Warszawsko-Wiedeńskiej według *Kur. warsz.* udarował swych podwładnych nowym okólnikiem, który zawiera w sobie kilka zagadek.

I tak: każdy nowowstępujący do służby musi złożyć deklaracyę, że „nie ma i *mieć nie będzie* żadnych długów.“ Przypuśćmy, że komuś w pożarze domu spaliła się albo też skradziona została cała garderoba; co ma biedak uczynić: czy podać się do dymisyi, czy pójść do biura w negliżu, czy pożyczyć sobie 100 rs. na nowe ubranie?

Dalej: pracownicy kolejowi nie mogą po za godzinami biurowemi zajmować się inną robotą a nadewszystko handlem. A jeżeli którykolwiek z nich nie zdoła wyżywić dzieci pobieraną pensyą, albo też: jeżeli jest literatem, jak wielu urzędników kolei, redaktorem lub też — i tacy ją zdobią — posiada majątek ziemski i sprzedaje zboże, siano, kartofle, bydło itp.? Z tymi ostatnimi najmniejsza bieda, gdyż prawdopodobnie (aha!) wezmą dymisyę, ale co począć z pierwszymi (najbardziej zaś żal nam literatów)?

Inne przepisy przytaczamy bez uwag, gdyż są przejrzystsze.

A więc: służba etatowa w razie choroby otrzymuje pensyę przez 4 a nieetatowa przez 1 miesiąc. Roboty pozabiurowe wynagradzane będą w stosunku $1/_{1500}$ za godzinę pensyi rocznej (Tajemniczy ten ułamek zrozumiały jest tylko dla tych, którzy go wynaleźli, lub którzy z niego korzystać będą). Jaśniej wyłożone zostały dyety podczas wyjazdu, wzrastające naturalnie równolegle z wysokością pensyi.

Podobno istnieje gdzieś więzienie, które stoi pustkami, szpital dla waryatów, który nie ma ani jednego pacyenta, majątki ziemskie, nieobciążone pożyczką Towarzystwa kredytowego; nie słyszeliśmy jednakże, ażeby gdziekolwiek była instytucya, zatrudniająca kilkanaście tysięcy pracowników, z których żaden nietylko niema długów, ale ich mieć nie będzie. Kolej tedy Warszawsko - Wiedeńska stanie się pierwszym i jedynym okazem tego rodzaju. Wobec niej już nam nie zaimponuje żaden unikat: ani więzienie bez przestępców, ani szpital bez chorych, ani owca bez wełny, ani pies z kopytami, ani ryba z szerścią. Ci, którym okólnik zaciąży, niech pamiętają, że należą do jedynaków świata i historyi — a to przecież coś znaczy.

Cholera.

Włóczy się zaraza po kraju, jak niedobity pies wściekły. Nie ma już tyle energii, ażeby przebiegać wielkie przestrzenie i gryźć masy ludzi, nie ma tyle swobody, co dawniej, ażeby mogła wpadać wszędzie; strzeżona, tropiona, tępiona ze wszech stron tu kogoś ukąsi i zniknie, to znowu tam się ukaże i upoluje jakąś ofiarę. Z wyjątkiem kilku małych miast (jak Pułtusk, Jadów, Radzymin itd.), które dzięki swym brudom są zawsze jej stolicami, rozpostarła się ona szeroko, ale ze słabem natężeniem i bądź dogorywa, bądź dusi jednostki. Do Warszawy zagląda i usiłuje wkraść się ze strony przedmieść, zwłaszcza zaś od Czystego, gdzie zabrała kilka ofiar. Obecnie władze sanitarne zajęte są tamowaniem jej pochodu w okolicy N. Gieorgiewska i Nowodworu, skąd drogą Nadwiślańską mogłaby łatwo przenieść się dalej. W tym celu wydano również specyalne przepisy o przewozie wojsk biorących udział w manewrach pod Pułtuskiem: żołnierze mają być poddani oględzinom lekarskim na miejscu i po przybyciu do Warszawy. W Jabłonnie zaś urządzono szpital tymczasowy. Jak wszędzie, tak i w tym obrębie, niemal wyłącznie zapadają na epidemię ludzie biedni, a głównie żydzi.

Z Towarzystwa ogrodniczego.

W zeszłym tygodniu Towarzystwo ogrodnicze sprzedało resztę drzewek ze swej szkółki. Nieznajomości rzeczy ze strony amatorów i znanemu zapalaniu się przy licytacyach zawdzięcza ono, że szczepki w znacznej większości stare, kalekie, krzywe, zaniedbane, słowem, mało lub nic nie warte, nabyte zostały po 30 kop. sztuka. Kilkaset rubli dochodu z tego źródła przyda się instytucyi publicznej, ale spełniłaby ona daleko szlachetniej swoje zadanie, gdyby przynajmniej pewną część owych drzewek wrzuciła w piec lub rozdarowała włościanom. Towarzystwo, mające na celu podniesienie ogrodnictwa w kraju, nie powinno rozpowszechniać takiej lichoty, takich skazanych na przedwczesną śmierć wybierków, mogących tylko zniechęcić do hodowli drzew owocowych, w żadnym zaś razie nie powinno odstępować ich drogo, naśladując prywatnych spekulantów, wy-

zyskujących łatwowierną publiczność. Uczestnicy licytacyi z pewnością mówili sobie, że drzewka Towarzystwa ogrodniczego muszą być dobre, zdrowe i tanie, lepsze niż od Ulricha, Jankowskiego i Hosera, tymczasem one nietylko były gorsze, ale w rezultacie droższe.

Licytanci, podbijający się w cenach dla zdobycia szpitala ogrodniczego, wobec pięknych okazów wystawy Ulricha w soli Towarzystwa, łudzili się może nadzieją, że i oni z nabytych drzewek doczekają się podobnych owoców. Pozostawmy ich w tem błogiem mniemaniu, z którego czas wkrótce ich wyleczy i powiedzmy słów kilka o owej wystawie. Była ona niewątpliwie piękna i bardzo pouczająca, gdyż zawierała niektóre okazy wspaniałe i złożyła świadectwo, że kraj nasz może produkować owoce pierwszorzędnej wartości. Dotyczy to szczególnie gruszek, gdyż kolekcya jabłek była uboższą i mniej zadziwiającą, a innych owoców nie wystawiono wcale. Takie olbrzymy, jak: Angevine, König C. v. Wirtemberg, Double Philippe, E. Thirriot, B. Six, V. Delahay i inne imponowały rzeczywiście. W dołączonych kartkach nie znaleźliśmy żadnych objaśnień o warunkach hodowli, prawdopodobnie jednak najładniejsze grusze wytworzone były na karłach i śród szczególnej troskliwości. Zapewne specyaliści w *Ogrodniku* ocenią tę wystawę, a ciekawi mogą od nich dowiedzieć się więcej, niż z tej ogólnikowej notatki.

Nasz Herod.

P. Jeske-Choiński, wytrwały pedagog naszej literatury, który nie tylko uczy nas teoretycznie w charakterze krytyka, ale zarazem okazuje poglądowo w charakterze beletrysty, jak pisać należy (a może nie należy) nie lubi około $^9/_{10}$ autorów swojskich i obcych. Nie przeszkadza mu to w uprawie szczególniejszego rodzaju krytyki, polegającej na przytaczaniu długich ustępów z lekceważonego dzieła, zszytych wątłemi nićmi najzwyklejszych komunałów, stara się jednakże nie pozostawić w umyśle czytelnika najmniejszej wątpliwości, że osądzony przez niego autor winien być natychmiast uznany za zmarłego — nagle. Ale ponieważ i wielcy tego świata ulegają kaprysom losu, więc p. Jeske-Choińskiemu zdarza się ciągle dość dziwny i niewytłomaczony przypadek. Mianowicie chociaż ten szan. kapłan podpisze akt zejścia, odśpiewa egzekwie nad zmarłym grzesznikiem, ubrany w czarną kapę odprowadzi go uroczyście na miejsce wiecznego spoczynku i rzuci mu do grobu garść ziemi na trumnę, wkrótce a nieraz już w bramie cmentarza spotyka świeżo pochowanego nieboszczyka, który wygląda zdrowo i ani się domyśla, że go pochowano. Jest to dziw nieprawdopodobny, a jednak prawdziwy. W zeszłym tygodniu pochował p. Jeske-Choiński J. Brandesa. Przytoczywszy (w *Tyg. ilustr.*) zwykłym swoim sposobem zdanie o tym pisarzu brutalnego paradoksisty, usiłującego straszyć ludzi wywróconym wełną na wierzch kożuchem, M. Nordaua, oraz niejakiego Thorela, tak kończy: „Do licznych nieboszczyków lat ostatnich (śmiertelność tę — jak rzekliśmy — wywołał głównie p. Jeske-Chiński) przybędzie niebawem nowy, a imię jego: Jerzy Brandes. Koniec stulecia urządza istną rzeź niewiniątek. Padają niedawne wielkości na prawo i lewo pod nożem reakcyi przeciwmateryalistycznej (Boże, jak okropnie musi być krwią obryzgany ten nasz Herod!). Śmieszne to widowisko — zaprawdę.“ O, nawet bardzo śmieszne. A jeżeli p. Jeske-Choiński znowu spotka tego „nieboszczyka“ zupełnie zdrowego i opowie mu o jego pogrzebie w Warszawie, z pewnością sprawi i jemu rzetelną uciechę. Chyba ci tylko niezdolni są bawić się szczerze takiem widowiskiem, którzy nie lubią fars na scenie... krytyki. Chociaż co im szkodzić może „rzeź niewiniątek,“ jeśli one zaraz zmartwychwstają? *P.*

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Jarmarki. Coraz więcej gromadzi się faktów, świadczących, że jarmarki są formą handlu przeżytą, niezgadzającą się z warunkami i potrzebami dzisiejszemi. „Jarmark czterodniowy płocki, kilka lat temu wskrzeszony — pisze korespondent *Kuryera warsz.* — z każdym rokiem upada i prawdopodobnie znowu przejdzie w stan spoczynku... Świeży dowód upadku mieliśmy w tym roku, albowiem oprócz baranów i kilku nędznych koni nikt nic nie przyprowadził i nie przywiózł, a i przyprowadzone „okazy“ z braku nabywców albo powróciły do domu, albo za bezcen sprzedane zostały... byle targ szedł.“ Inny korespondent z Jędrzejowa donosi: „Tegoroczny jarmark świętomichalski w stosunku do lat ubiegłych wogóle dał mniej pomyślne rezultaty.“ Obok formy, niedopasowanej do dzisiejszych warunków, wielce charakterystyczną przyczyną upadku owych targów okolicznościowych jest brak przystosowania się organizatorów do zjawisk życia handlowego w dalszej okolicy. Robią oni tak, jak gdyby po za granicami ich malutkiego partykularza cały świat się kończył. To też ważniejsze jarmarki: w Płocku, Łowiczu, Łęcznej i innych miejscowościach odbywają się prawie jednocześnie ze szkodą wzajemną. Jakież przytem niedołęstwo, brak tej szczypty bystrości, którą posiadać powinien każdy terminator handlowy! Na niepowodzenie np. jarmarku w Jędrzejowie podobno wpłynęła ta okoliczność, że w terminie przez zwyczaj ustalonym przypadły święta żydowskie, targ więc odłożono, ale mało kto o tem wiedział. Zamiast skończyć się już 8-go, w dzień wielkiego odpustu św. Wincentego Kadłubka, rozpoczął się dopiero 6-go października bardzo niefortunnie. Właściciele ziemscy i kupcy z dalszych okolic, trzymając się po za informacyami faktorów, jedynie wskazówek kalendarzowych, poprzyjeżdżali wcześniej i zawiedli się. Z braku odpowiednich dostawców pozawierali mniejsze tranzakcye i powrócili do domów. Wprawdzie pisma podały zawczasu właściwy termin jarmarku, ale ci, dla których owe wiadomości służą, nie czytują gazet. Wielu interesowanych twierdzi, że jarmark płocki miałby racyę bytu w czerwcu na św. Jana, gdyż w tym czasie każdy ziemianin po sprzedaniu wełny w Warszawie ma pełną kieszeń, ,,mógłby więc prędzej coś kupić‘‘... niepotrzebnego lub — ,,na sprzedaż przyprowadzić.‘‘ Ostatniego twierdzenia nie rozumiemy, boć pełna kaleta nie może być bodźcem do sprzedaży, chyba do skorzystania z okoliczności, tj. — pod pozorem targu — odwiedzenia handelków, które mają wielki urok dla jarmarkowiczów.

Elewatory i magazyny zbożowe. W zakresie najważniejszej działalności handlowej kolei Terespolskiej leżą obecnie obroty zbożowe z zaliczeniami na transporty, dostarczane na stacye lub adresowane do magazynów składowych na Pradze. Taryfy składowe i komisowe, ogłoszone dla Pragi wraz z magazynami tudzież postanowiona budowa elewatora zbożowego, połączonego odnogą z przystanią na Wiśle, zapewnią przewóz transportów po linii Terespolskiej od Brześcia ku Warszawie w większej niż dotąd ilości, gdyż na znaczne ożywienie wpłynie dostawa zboża z Cesarstwa dla spożywców Królestwa Polskiego i dla spławu Wisłą do Gdańska. Zarząd kolei skarbowych, oprócz powyższych urządzeń w Warszawie, stara się o ożywienie ruchu na odnodze Brzesko - Chełmskiej. Ze względu na znaczną produkcyę zboża w gub, lubelskiej, w Chełmie powstanie drugi, mniejszy elewator, zboże zaś stamtąd będzie kierowane przez Brześć Litewski do komory w Grajewie, albo również przez Brześć do Warszawy. Trzeci elewator powstanie dla odnogi Siedlecko-Małkińskiej i Brzesko-Chełmskiej w Ostrołęce lub Małkini. Według zaś zapewnień *Kuryera warsz.*, na stacyach, gdzie można się spodziewać obfitych ładunków zbożowych, zbudowane będą magazyny specyalne dla przechowywania ziarna do chwili pomieszczenia w wagonach.

Bank państwa. Plan reformy tej instytucyi tak się przedstawia w szkicowym zarysie: Działalność handlowa, stanowiąca dziś jedną z najważniejszych czynności, będzie drugorzędną. Bank posiądzie prawo udzielania pożyczek na zastaw papierów procentowych i dyskontowania weksli; głównie zaś popierać będzie wszelkiego rodzaju przemysł (fabryczny, rolny). Przy głównej powstanie nowa instytucya, w której się skupi drobny kredyt rolny, przy współdziałaniu istniejących obecnie kas zaliczkowo-wkładowych. Tym ostatnim Bank otworzy znaczny kredyt i rozciągnie kontrolę nad ich działalnością. Czynność dyskontowa rozszerzy się w ten sposób, że do dyskonta przyjmowane będą weksle do 25 rs. W razie potrzeby Bank otwierać ma kredyt zarządom miejskim.

— Bank handlowy ruski, istniejący w Petersburgu, rozwija działalność, zakłada kantory i agentury w różnych miastach. Obecnie otwiera jedną w Warszawie.

— Przemysłowiec petersburski, Koenig, zniżył ceny cukru o 40 kop. na pudzie.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Żydzi, poddani obcy, przy wizowaniu paszportów na przejazd do Rosyi ukrywają zwykle swoje pochodzenie i otrzymawszy wizy na ogólnych zasadach, obowiązujących dla chrześcian, prowadzą interesy w charakterze cudzoziemców. Według doniesień *Now. Wrem.*, zwrócono już na to baczną uwagę. W tych dniach konsulowie otrzymali rozporządzenie, dotyczące bacznego przestrzegania notowań o wyznaniu na pasportach izraelitów zagranicznych.

— W Łodzi za wpuszczenie lokatorów do niewykończonej jeszcze trzypiętrowej oficyny przy ul. Konstantynowskiej, skazano właściciela, Dawida Singera, na 10 rs. kary lub trzy dni aresztu.

— Senat rządzący wyjaśnił, iż budynki chłopskie, zbudowane na gruntach włościańskich w obrębie miast, miasteczek i osad, podlegające podatkowi gruntowemu, nie mogą być obarczane podatkiem miejskim od nieruchomości.

— Pomiędzy pracującymi w warszawskim domu zarobkowym nie ma zawodowych żebraków, wyzyskujących miłosierdzie publiczne. Skutkiem tego p. oberpolicmajster polecił wyśledzić sposób ich utrzymania, nadto poruczono stróżom rozciągnąć baczny dozór nad żebrakami wałęsającymi się po domach. Będą oni zatrzymywani i rewidowani. Tych, u których się znajdą klucze podrobione, wytrychy itd., pociągać należy do odpowiedzialności karnej. Nie tutejsi zaś mieszkańcy, trudniący się żebraniną, którzy po wysłaniu ponownie się zjawili, powinni być skrupulatnie wyszukiwani. Urzędnicy, wydający im pasporty wbrew prawu, ulegną karze.

— W Radomiu postanowiono urządzić kasę pogrzebową. Zadaniem tej instytucyi będzie udzielanie jednorazowych wsparć na koszty pogrzebu i pierwsze potrzeby rodzin osieroconych.

Zdrowie publiczne. Towarzystwo subjektów handlowych w Warszawie wprowadziło naukę gimnastyki. Dotąd zapisało się przeszło stu członków.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło nową taryfę opłat dla żydów zamiejscowych, robotników kolejowych i fabrycznych, leczących się w oddziałach chirurgicznych szpitalów warszawskich. Opłatę podwyższono do 1 rubla dziennie.

— W Petersburgu otwarto nowy szpital dla obłąkanych za staraniem doktora Ottona Czeczota. Zakład będzie mógł pomieścić 1500 chorych. Narazie posiada 150 miejsc.

— Cholera wszędzie dość jest słaba, w Galicyi znacznie się zmniejszyła. Według danych z 13 b. m. w ciągu tygodnia zachorowało 82 osoby, zmarło 41 w 23 gminach. Na Węgrzech choruje dziennie po pięćdziesiąt kilka, umiera po 30 osób. W Hamburgu bywa po kilka zachorowań. W Palermie (17 b. m.) w ciągu doby zachorowało 12, zmarło 5, w Liwornie zach. 15, zm. 8. W Holandyi w ostatnim tygodniu zachorowało 10,

zmarło 7. Z Greenwich donoszą, że w szpitalu tamtejszym 200 starszych kobiet zachorowało, 8 zmarło (17 b. m.). Sułtan turecki, pragnąc zapobiedz szerzeniu się w Europie cholery azyatyckiej, ofiarował z własnej szkatuły 700,000 fr. na budowę mieszkań hygienicznych w Hedżas i szpitala dla 6000 ubogich pielgrzymów. Koszty utrzymania również sułtan będzie ponosić.

— W ciągu zeszłego miesiąca dokonano w Warszawie 487 rozbiorów mleka, wziętego od przekupniów z targów; 116 prób (czyli 23,79% całej ilości) było podrobionych.

Szkoły. Rada miejska we Lwowie uchwaliła wnieść petycyę do rządu o założenie Akademii handlowej w tem mieście, jako osobnej szkoły, albo też jednego z wydziałów szkoły politechnicznej.

— W uniwersytecie krakowskim w ciągu ostatniego roku dyplomy dostało 126 studentów. Równocześnie z rozpoczęciem roku we wszechnicy, odbyło się otwarcie nowowybudowanych klinik chirurgicznych.

Sprawy kolejowe. Bilety, bezpośrednio brane z Moskwy do Czelabińska, kosztują obecnie: w kl. I rs. 56, w II rs. 42, w III rs. 21. Jest to więc pierwsza zniżka na wzór strefowych.

Bibliografia. Gamaston, *Lamparcie życie*, powieść, str. 494, Petersburg, Grendyszyński.

— Dr. S. Ribbing, *Hygiena płci* i jej moralne następstwa, tłom. dr. B. K., str. 156, Warszawa, Guranowski.

— I. Matuszewski, *Dyabeł w poezyi*, studyum krytyczno-porównawcze, str. 137. Warsz., Centnerszwer.

— *Kalendarz myśliwski* ilustrowany na r. 1894, str. 175, Warszawa, Ronczewski.

— A. Suligowski, *O konwersyi listów zastawnych ziemskich i jej znaczeniu*, str. 42, Warszawa.

Gazeta cukrownicza, zamiast dawnego dodatku przy *Przegl. Techn.*, zaczęła wychodzić jako tygodnik samodzielnie pod redakcyą S. Broniewskiego.

Zmarli. Tymoteusz Rodziszewski w Warszawie. Niegdyś nauczyciel i kierownik pedagogiczny w Instytucie moralnej poprawy dzieci, najpierw w Warszawie, potem w Królikarni i Mokotowie. Ur. 1 listop 1812 r. w gub. siedleckiej. Napisał i wydał: „Bajel i powiastek 60“ (trzy wydania), „Nowe powiastki (dwa wyd.), „Życiorys Stanisława Jachowicza,“ „Modlitewki dla dzieci,“ „Zabawka moralna,“ „Pani Duiska,“ „Trzy kotki,“ „Arytmetyka dla dzieci“ i in.

— Benedykt Przedzymirski w Warszawie. Przyrodnik, współpracownik dawniejszego czasopisma *Przyrody i przemysłu* tudzież *Wszechświata*.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 8 Октября 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.